Piątek–niedziela, 4–6.09.2026
Nr 71 (2582)
Cena **7,00 zł** (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682

19 lat

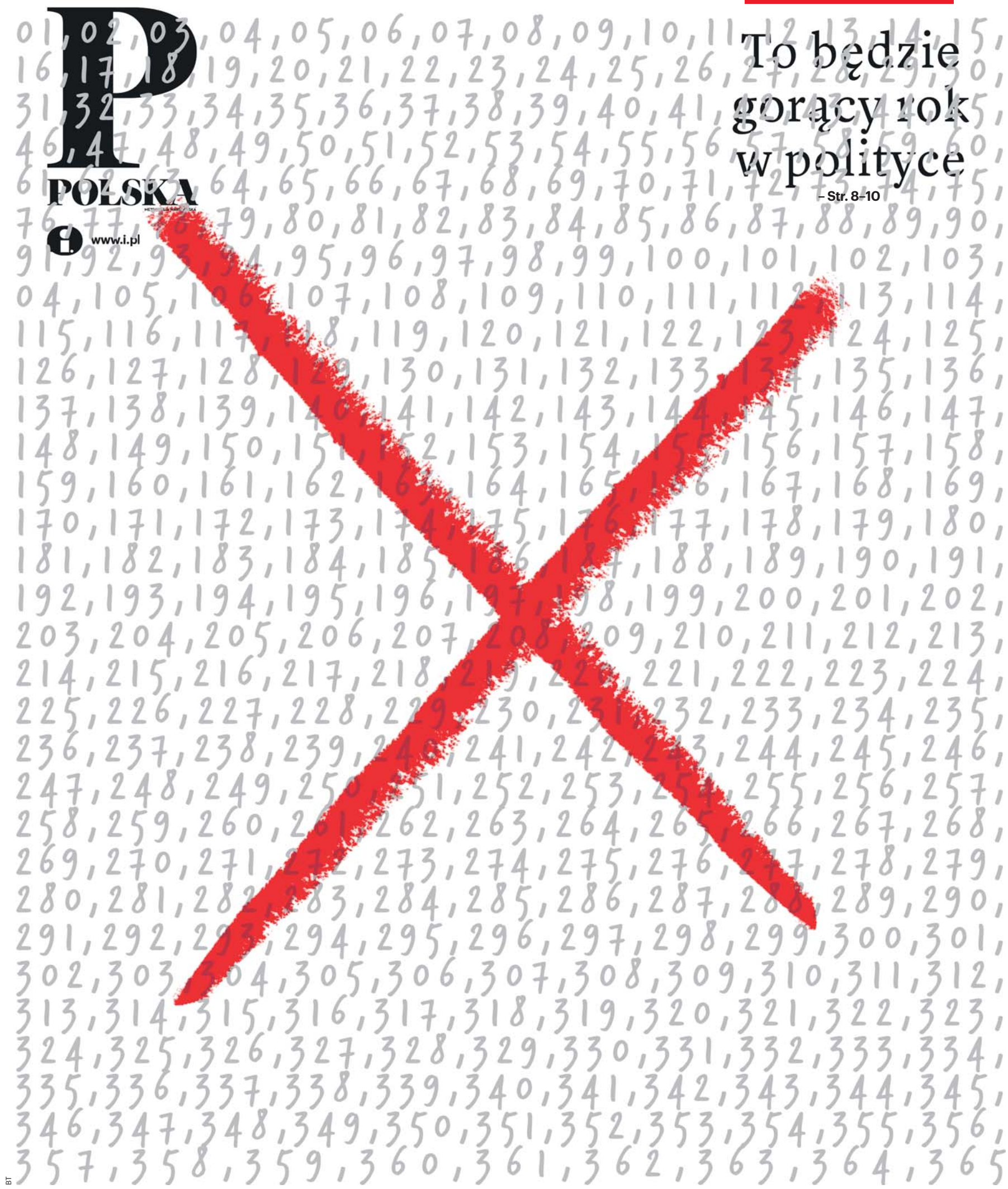
MAGAZYN

POLSKA
www.i.pl

To będzie gorący rok w polityce

– Str. 8–10

Krzyżówka / Sport / Z życia Warszawy



BT

9 771898 308059 36

MAGAZYN

Robert Korzeniowski: Nie ma przestrzeni, by Radosław Piesiewicz kierował PKOl – **Str. 16**

MAGAZYN

Adam Eberhardt: Rosyjskich działań o charakterze wrogim wobec Europy jest wiele. Chodzi o strach – **Str. 12**

TELEMAGAZYN

● Król Artur. Legenda miecza. Nowe spojrzenie na historię starą jak świat

eprasa.pl 98fe2b04de

Na okładce



BT

Został już tylko rok do wyborów. I nie będzie to prosty politycznie rok, bo temperatura sporu politycznego tylko narasta, jak choćby w związku z aferą Zondacrypto

s.6

Kolejne kroki prokuratury w sprawie Zondacrypto. Są kolejne zatrzymania i taśmy

s.16

Robert Korzeniowski: Nie ma przestrzeni, by Radosław Piesiewicz kierował PKOl

s.12

Dr Adam Eberhardt: Putin pójdzie tak daleko, jak daleko mu pozwolimy. Zniszczenie NATO jest fundamentalnym, podstawowym celem, który Rosjanie mogą sobie stawiać. Może się okazać, że wystarczą działania hybrydowe

s.18

„Nigdy w życiu!" wraca po ponad 20 latach. A afera „TosiaGate" trwa w najlepsze

s.20

Międzynarodowa miłość Iranki i Białorusina w Polsce z polityką migracyjną w tle

WARSZAWA STR. 30 **SPORT** STR. 31
KRZYŻÓWKA STR. 32

Robert Korzeniowski
Sportowiec, olimpijczyk. Czterokrotny zdobywca złota IO w chodzie. Szef stowarzyszenia OlimpijczycyPL.





Joanna Jabłczyńska
Aktorka telewizyjna, filmowa i dubbingowa; piosenkarka, prawniczka, radczyni prawna, ambasadorka wielu akcji charytatywnych

FOT. JULIA BROCHOCKA, ADAM JANKOWSKI

POLECAMY

PONIEDZIAŁEK: Co się stało z Aldoną zaginioną 27 lat temu?

POLSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

4.09.2026. Dzień dobry

Afera hipokrytów

Można powiedzieć, że afera Zondacrypto ma w sobie wszystko co powinna mieć klasyczna afera korupcyjna na szczytach władzy: biznesmena o wyglądzie mafiosa, który drogim zegarkiem korumpuje spoconego działacza sportowego, opłacaną milionami partyjną telewizję PiS, polityków prawicy, którzy dostają od tej firmy pieniądze nie wiadomo za co, oraz prezydenta, który trzykrotnie wetuje ustawę mającą uregulować rynek kryptowalut. W tle tej afery jest jeszcze prawdopodobne morderstwo poprzedniego szefa Zondacrypto i rosyjskie służby specjalne. To właściwie gotowy scenariusz na niezły serial sensacyjny.

Nie wiem, czy pamiętają jeszcze Państwo aferę Rywina sprzed 22 lat, która przez lata wydawała się największa aferą III RP. Dziś przy aferze Zondacrypto wydaje się jednak, że to był jakiś pikuś!

Tymczasem w aferze Zondacrypto mam wprost biznesmena, który korumpuje szefa PKOL, partyjną telewizję oraz polityków prawicy, którzy w Sejmie działają na rzecz interesu tegoż biznesmena. Nie ma tu żadnej dwuznaczności, jakiś niedomówień, wszystko jest czytelne i układa się w określony ciąg zdarzeń.

Najbardziej groteskowe w aferze Zondacrypto jest obserwowanie, jak politycy prawicy wiją się jak piskorze, odwracają kota ogonem i próbują przerzucać odpowiedzialność na innych, choć widać wyraźnie, słychać ich wypowiedzi i działania, jak bardzo powiązani byli z Kralem i jego giełdą kryptowalut. Ludzie, którzy przez lata zbudowali polityczny język oparty na „układach", „sitwach", „powiązaniach" i „pieniądzach płynących do zaprzyjaźnionych mediów", nagle odkrywają, że sami mogą posłużyć za idealny tego przykład, jak nikt inny wcześniej.

Według danych Instytutu Monitorowania Mediów aż 70 procent wartości wydatków reklamowych Zondacrypto w prasie, radiu i telewizji w okresie od marca 2024 do marca 2026 roku przypadało na Telewizję Republika. IMM oszacował wartość całej kampanii na 53,4 mln zł, a Republiki - na około 37 mln zł. Tomasz Sakiewicz kwestionował te wyliczenia, twierdząc, że są wielokrotnie zawyżone.

Media ujawniły bowiem, że Sakiewicz prowadził rozmowy z Przemysławem Kralem, szefem Zondacrypto, dotyczące sprzedaży mu części udziałów w Republice. Do transakcji ostatecznie nie doszło. Sakiewicz przekonuje, że to on ją powstrzymał.

I właśnie w tym miejscu zaczyna się opowieść o hipokryzji.

Bo wyobraźmy sobie przez chwilę sytuację odwrotną.

Wyobraźmy sobie firmę, wobec której prokuratura prowadzi śledztwo dotyczące podejrzenia oszustwa i prania pieniędzy. Firma ta wydaje dziesiątki milionów złotych na reklamy głównie np. w TVN. Jej właściciel rozmawia o kupieniu części udziałów TVN. Firma sponsoruje wydarzenie, na którym w środku kampanii wyborczej pojawia się Rafał Trzaskowski. Pieniądze trafiają do fundacji związanych z prominentnymi politykami Platformy Obywatelskiej.

Czy ktoś naprawdę wierzy, że Telewizja Republika potraktowałaby to jako serię przypadkowych zdarzeń biznesowych? Grzaliby ten temat na paskach dzień i noc do czerwoności!

Afera Zondacrypto musi zostać wyjaśniona do końca. Od początku działalności firmy, przez działania kolejnych rządów i służb, po jej kontakty z politykami, fundacjami, mediami i organizacjami sportowymi. Bez taryfy ulgowej dla PiS, Rozwoju Plus, obecnego rządu, prezydenta czy kogokolwiek innego.

MACIEJ SANDECKI
publicysta



ZESKANUJ KOD

- Wiadomości z kraju i ze świata znajdziesz na **i.pl**
- Jesteśmy obecni w 20 największych polskich miastach
- Treści regionalne łączymy z publicystyką, a także materiałami wideo

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską"

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

eprasa.pl 98fe2b04de

Z CZEGO JUTRO ...?

Andrzej Sadowski
Centrum im. Adama Smitha



Od agresji Niemiec do G20, czyli jak przedsiębiorcy stworzyli markę polską

W Polsce 1 września obchodzona jest uroczyście rocznica „wybuchu II wojny światowej", a formalnie od roku 2014 jest to „Dzień Weterana Walk o Niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej". Samoistnie może wybuchnąć wulkan jak Etna 16 i 17 sierpnia, a nie wojna, w której władze państwa lub państw dokonują świadomie agresji na inne. Skoro wydano nawet znaczki pocztowe upamiętniające „80 rocznicę wybuchu II wojny światowej", to roszczenia powinny być kierowane do wojny jako takiej, a nie do Niemiec czy Rosji. W Chinach 3 września obchodzony jest „Dzień Zwycięstwa Narodu Chińskiego w Wojnie Oporu przeciwko Japońskiej Agresji". Jeżeli rządy nie są w stanie zadbać o przeszłość, to co dopiero o naszą przyszłość.

Polska, licząc straty na głowę mieszkańca, poniosła największe w całej Europie w wyniku agresji Niemiec i Związku Sowieckiego, a oprócz tego utraciła niemal połowę przedwojennego terytorium na rzecz drugiego agresora. Po sześciu latach ludobójczych okupacji przyszły kolejne czterdzieści cztery lata ustroju, który przejął i rozwinął najlepsze „tradycje" sanacyjnej junty wojskowej w odbieraniu obywatelom wolności politycznej oraz gospodarczej, kontynuując jej etatyzm i nacjonalizację, aż do osiągnięcia stanu gospodarki nakazowo-rozdzielczej. Konsekwencją braku wolności politycznej, a przede wszystkim ekonomicznej był system permanentnego niedoboru z pustymi półkami sklepowymi i kartkami na żywność jak za okupacji. PRL zbankrutował nie tylko moralnie, ale przede wszystkim ekonomicznie zostawiając dług sięgający ponad 42 ówczesne miliardy $.

W roku 1978 globalną marką polską stał się kardynał Karol Wojtyła zostając papieżem Janem Pawłem II. W roku 1980 do światowych marek polskich dołączają Lech Wałęsa i „Solidarność". Polska przestaje być tylko jednym z satelickich kondominiów imperium zła, gdzie według krążących na tzw. Zachodzie wyobrażeń na ulicach można spotkać niedźwiedzie, a staje się na skalę światową marką niezłomnej walki o wolność. Marki te szybko zostały roztrwonione przez rządy po roku 1989, czego przytłaczającym dowodem jest odebranie przez Niemcy pierwszeństwa Polsce w obaleniu komunizmu przez skuteczne wylansowanie rozebrania muru berlińskiego jako światowego symbolu upadku tego systemu i to ich rękami w sytuacji, kiedy w NRD 1 agent lub informator tajnej policji politycznej Stasi przypadał na 60–63 obywateli.

Bez udziału rządów marką polską stał się „polski cud gospodarczy" przełomu lat 80 i 90 wieku XX za sprawą ustawy o działalności gospodarczej z 23 grudnia 1988 zwanej ustawą Wilczka. Prawdziwa dekomunizacja systemu dokonała się za jej sprawą w gospodarce jeszcze przed Okrągłym Stołem i reglamentowanymi wyborami w czerwcu 1989. Dwa artykuły z ustawy Wilczka, które głosiły, że prowadzenie działalności gospodarczej jest wolne i dozwolone każdemu na równych prawach, oraz że dozwolone jest wszystko, co nie jest prawem zabronione, były w połączeniu z polską pracą i przedsiębiorczością formułą największego cudu gospodarczego na świecie końca wieku XX. Kontrrewolucja straganów (autorski termin z początku wieku XXI) w ciągu kilku lat doprowadziła w Polsce do stworzenia około dwóch milionów nowych firm i od pięciu do sześciu milionów nowych miejsc pracy. Mikro i małe oraz średnie rodzime przedsiębiorstwa zaczęły wytwarzać dwie trzecie polskiego produktu krajowego brutto.

Narodowa, nie koncernowa, polska gospodarka oraz jej sukces nigdy nie zostały zrozumiane przez rządzących, którzy za wszelką cenę nieproporcjonalną do rzeczywistych korzyści zabiegali o zagraniczne inwestycje, nie zauważając, że to dzięki rodzimym przedsiębiorcom wyrwaliśmy się z pułapki taniej montowni i staliśmy się niezastąpioną strefą przemysłową dla europejskich firm. Miało to miejsce w sytuacji permanentnej terapii szokowej, która nie skończyła się na początku lat 90., tylko była kontynuowana pod zmienionymi nazwami jak „schładzanie gospodarki" czy „polski ład". Mimo tych i innych antyspołecznych i antygospodarczych polityk rządowych niweczących sporą część pracy, przedsiębiorcy w Polsce, i to wielu już narodowości, jak m.in. wietnamskiej, rozwinęli firmy na tyle, że skutkiem jest szokujący kilkuprocentowy wzrost gospodarczy zwłaszcza na tle zbliżonym do zera w Niemczech, co siłą rzeczy wywołuje międzynarodowe refleksje.

Przed objęciem rządów oprócz zaprzysiężenia powinien być też obowiązkowy egzamin z czytania ze zrozumieniem lektur George'a Friedmana „Następne 100 lat. Prognoza na XXI wiek", Krzysztofa Dzierżawskiego „Krótki kurs ekonomii praktycznej" i Wolfganga Münchaua „Kaput. Koniec niemieckiego cudu gospodarczego". Polska nie została zaproszona do G20 ze względu na osiągnięcia polityków, tylko przedsiębiorców, którzy bez udziału rządów stworzyli globalną markę jaką jest narodowa gospodarka. Zrobili to nie kolejni premierzy i ministrowie, tylko miliony anonimowych obywateli, którym w grudniu 1988 pozwolono działać. Spożytkowali wolność gospodarczą i swoją przedsiębiorczość, które są samoistną marką polską od dekad porzuconą i zapominaną przez rządy.

Andrzej Sadowski, założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 roku

REKLAMA 0011548563

Ochrona ludności i obrona cywilna

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji

MINUTA DLA TWOJEGO BEZPIECZEŃSTWA

Znasz sygnały alarmowe?
Wiesz, gdzie się schronić?
Jak spakować plecak ewakuacyjny?
Jak reagować na zagrożenia?



TVP 1

Oglądaj program
Minuta dla Twojego bezpieczeństwa
sobota 14:15, niedziela 18:25

eprasa.pl 98fe2b04de

CO ZA TYDZIEŃ

Przygotował **AGATON KOZIŃSKI**
zastępca redaktora naczelnego
„Polski Metropolii Warszawskiej”



31.08 PONIEDZIAŁEK

46. rocznica podpisania Porozumień Sierpniowych była hucznie obchodzona w Gdańsku, choć nie udało się (jak co roku od wielu lat) zorganizować jednego wydarzenia z udziałem najważniejszych osób w państwie.

W tym roku oddzielnie rocznicę uczcili prezydent Karol Nawrocki i premier Donald Tusk. Obaj jednak oddali szacunek bohaterom zrywu z 1980 roku



2.09 ŚRODA

Aresztowano kolejne osoby związane z aferą Zondacrypto. Prokurator generalny Waldemar Żurek przekazał, że śledczy cały czas kompletują dokumentację związaną z giełdą kryptowalut. W czasie przeszukań zabezpieczono m.in. luksusowe auta, zegarki, biżuterię oraz znaczną ilość gotówki. Wcześniej zatrzymano prezesa PKOL Radosława Piesiewicza.

Sprawa Zondacrypto to największa polityczna afera przełomu sierpnia i września. W czwartek debatowano o niej w Sejmie. Można się spodziewać, że szybko znajdzie ona też przełożenie na notowania sondażowe partii politycznych

3.09 CZWARTEK

Sejmowa Komisja Sprawiedliwości i Praw Człowieka pozytywnie zaopiniowała kandydaturę Macieja Berka na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. W piątek w Sejmie odbędzie się głosowanie jego kandydatury. Do końca nie będzie wiadomo, czy poprą go wszyscy posłowie koalicji rządzącej





31.08 PONIEDZIAŁEK

Lionel Messi ogłosił zakończenie kariery w reprezentacji Argentyny. Jeden z najlepszych piłkarzy w historii rozegrał w niej 207 meczów i zdobył 125 bramek. Cztery lata temu zdobył ze swoją drużyną tytuł mistrzów świata.

Messi w kadrze zadebiutował w 2005 r. - i od razu w pierwszym meczu obejrzał czerwoną kartkę. Później jednak odniósł wiele sukcesów, m.in. dwa razy był wicemistrzem świata z Argentyną

31.08 PONIEDZIAŁEK

Indyjski premier Narendra Modi podczas spotkania z Putinem w Kirgistanie na marginesie szczytu Szanghajskiej Organizacji Współpracy wezwał go publicznie do jak najszybszego zakończenia wojny na Ukrainie. „Każdy dzień, w którym trwa wojna, stanowi w istocie krok wstecz dla ludzkości, podczas gdy każdy krok w kierunku pokoju daje całej ludzkości prawdziwą nadzieję na pokój” - mówił Narendra Modi podczas wspólnej konferencji z rosyjskim prezydentem. Putin mu podziękował za te słowa





1.09 WTOREK

Rząd Niemiec przypisał Rosji odpowiedzialność za incydent z dronem z materiałem wybuchowym na lotnisku w Lipsku. Szef niemieckiej dyplomacji Johann Wadephul poinformował, że rząd niemiecki zamknie konsulat generalny Rosji w Bonn i ośrodek kulturalny Rosyjski Dom w Berlinie. Rosja zareagowała wzywając niemieckiego charge d’affaires w Moskwie do MSZ. Władimir Putin oskarżył władze Niemiec o sfabrykowanie dowodów na zaangażowanie jego kraju w ten incydent

3.09 CZWARTEK

Karol Nawrocki podda się przesłuchaniu w sprawie niedopuszczenia sędziów TK do orzekania.

Prokuratura chce go przesłuchać w tej sprawie w charakterze świadka. - To nie jest poważne dla państwa polskiego, ale oczywiście poddam się przesłuchaniu - skomentował Nawrocki

3.09 CZWARTEK

Robert Korzeniowski będzie się ubiegał o fotel przewodniczącego Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Czterokrotny złoty medalista Igrzysk Olimpijskich w chodzie chce na tym stanowisku zastąpić Radosława Piesiewicza.

Korzeniowski, w ramach przygotowań do walki o stanowisko w PKOL, ogłosił zakończenie współpracy z Ministerstwem Sportu i Turystyki. Był współpracownikiem resortu od 2024 r.

FOT. EAST NEWS, PAP/EPA,

eprasa.pl 98fe2b04de

MATERIAŁ INFORMACYJNY ARIMR

0011553861

Wsparcie dla dużych przetwórców. W ARiMR ruszył nabór wniosków

Nawet 10 mln zł może otrzymać firma na inwestycje związane z przetwarzaniem produktów rolnych czy wprowadzaniem ich do obrotu. Od 1 do 30 września za pośrednictwem Platformy Usług Elektronicznych Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa prowadzi nabór wniosków o wsparcie dla mikro-, małych i średnich przedsiębiorstw z branży przetwórczej, które jest finansowane z Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027.

Sektor przetwórstwa rolno-spożywczego jest jedną z najważniejszych gałęzi polskiej gospodarki. Odpowiada za około 10 proc. krajowej produkcji oraz około 6 proc. wartości dodanej brutto. Gdy porównać go pod względem produkcji sprzedanej z innymi branżami przetwórczymi, m.in. tworzyw sztucznych, metali, drewna czy nawet ropy naftowej, nie ma sobie równych.

Przetwórstwo rolno-spożywcze jest kluczowym ogniwem między rolnictwem a konsumentem. Silny i nowoczesny sektor pozwala zapewnić ciągłość dostaw żywności oraz zmniejsza zależność od importu produktów przetworzonych, co jest kluczowe dla zachowania bezpieczeństwa żywnościowego kraju.

Branża ta jest także ważnym pracodawcą oraz odbiorcą surowców od polskich rolników. Jej rozwój oznacza utrzymanie miejsc pracy na terenach wiejskich, wzrost dochodów rolników i ograniczenie wykluczenia gospodarczego regionów.

Polscy przetwórcy muszą liczyć się jednak z silną konkurencją zagraniczną, gdzie przedsiębiorstwa są często większe i lepiej wyspecjalizowane, np. w produkcji wysoko przetworzonej bądź organicznej żywności.

By móc skutecznie rywalizować, potrzebne są inwestycje w nowoczesne budynki, linie technologiczne, sprzęt czy systemy zarządzania produkcją. Dofinansowanie na realizację takich przedsięwzięć dostępne jest także w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Właśnie ruszył nabór wniosków o wsparcie dla firm przetwórczych, także tych działających jako zorganizowane formy współpracy rolników.

„Rozwój współpracy w ramach łańcucha wartości (dotacja) - poza gospodarstwem" to program finansowany z Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027. ARiMR uruchomiła go po raz pierwszy. Jego celem jest m.in. zwiększenie konkurencyjności przedsiębiorstw przetwórstwa rolno-spożywczego; skracanie i usprawnianie łańcuchów dostaw żywności, dzięki czemu większa część marży pozostaje u krajowych producentów i przetwórców; rozwój trwałej współpracy pomiędzy rolnikami i przetwórcami, w tym przez zawieranie umów na dostawy surowców; ograniczanie strat żywności oraz wspieranie gospodarki obiegu zamkniętego, m.in. przez wykorzystanie produktów ubocznych i odpadów żywnościowych; rozwój przetwórstwa ekologicznego i lokalnego rynku żywności.

Kto może ubiegać się o dotację?

Wsparcie adresowane jest do tzw. „dużych przetwórców", a dokładnie do mikro-, małych i średnich przedsiębiorstw (MŚP) zajmujących się przetwarzaniem produktów rolnych. O środki mogą ubiegać się również MŚP z sektora rolno-spożywczego działające jako zorganizowane formy współpracy rolników – grupy i organizacje producentów oraz spółdzielnie. Beneficjentami pomocy mogą być osoby fizyczne, wspólnicy spółki cywilnej, osoby prawne oraz jednostki organizacyjne bez osobowości prawnej. Kluczowe pozostaje jednak posiadanie statusu MŚP.



Fot. Adobe Stock

Dodatkowe możliwości dla zrzeszonych rolników

Pomoc przyznawana jest na inwestycje materialne i niematerialne dotyczące przetwarzania lub wprowadzania do obrotu produktów rolnych, z wyłączeniem produktów rybołówstwa i akwakultury. I co dodatkowo ważne, szerszy zakres wsparcia otrzymają grupy i organizacje producentów oraz spółdzielnie. W obszarze A pomoc udzielana jest na przetwarzanie produktów rolnych (surowców) i wytwarzanie w wyniku tego procesu produktów rolnych. Natomiast możliwość uzyskania wsparcia na wprowadzanie tych produktów do obrotu przewidziana jest wyłącznie dla zorganizowanych form współpracy rolników. Z kolei obszar B obejmuje działalność związaną z przetwarzaniem ekologicznych produktów rolnych. Także tutaj wyłącznie grupy i organizacje producentów oraz spółdzielnie mogą ubiegać się o pomoc na wprowadzanie produktów do obrotu. Istotnym warunkiem ubiegania się o dotację w obszarze B jest to, że dana kategoria działalności musi być objęta certyfikatem produkcji ekologicznej wydanym przed 1 stycznia 2026 r.

Wysokość refundacji i kwoty pomocy

Wsparcie udzielane jest w formie refundacji kosztów kwalifikowanych w zależności od obszaru inwestycji oraz formy prowadzonej działalności. I tak w obszarze A wynosi ona standardowo do 50 proc. kosztów kwalifikowanych i do 60 proc. w przypadku inwestycji realizowanych przez zorganizowane formy współpracy rolników. Natomiast w obszarze B poziom refundacji wynosi do 60 proc. kosztów kwalifikowanych i niezależnie od tego, jaki rodzaj podmiotu prowadzi przedsięwzięcie.

Pomoc przyznana jednemu beneficjentowi w ramach refundacji nie może przekraczać 10 mln zł i nie może być niższa niż 100 tys. zł.

Na co można przeznaczyć przyznane środki?

Katalog inwestycji, na które można otrzymać wsparcie, jest bardzo szeroki i obejmuje m.in.:

- budowę, przebudowę, rozbudowę lub remont połączony z modernizacją budynków i budowli produkcyjnych, magazynowych, np. chłodni czy infrastruktury towarzyszącej;
- nabycie nowych maszyn, wyposażenia, aparatury kontrolno-pomiarowej oraz instalacji technicznych do przetwórstwa, magazynowania lub sprzedaży;
- zakup oprogramowania, licencji, systemów zarządzania jakością oraz wdrażanie innowacyjnych technologii i rozwiązań cyfrowych;
- inwestycje związane z ochroną środowiska, gospodarką odpadami lub systemami energetycznymi, np. oczyszczalnie ścieków, biogazownie, systemy fotowoltaiczne, magazyny energii, instalacje odzysku ciepła, pompy ciepła, kotły i piece na biomasę (z wyłączeniem kotłów do spalania słomy);
- inwestycje związane z wykonaniem celów Strategii „Od pola do stołu", np. zakup maszyn i urządzeń do pakowania, znakowania i etykietowania produktów, systemów informatycznych umożliwiających identyfikację i monitoring warunków przetwarzania, przechowywania czy transportu produktów.

Do kiedy trwa nabór wniosków?

Wnioski można składać w terminie od 1 do 30 września 2026 r. wyłącznie drogą elektroniczną przez Platformę Usług Elektronicznych ARiMR. Na ich rozpatrzenie Agencja ma maksymalnie trzy miesiące od zakończenia naboru.



Fot. Adobe Stock

Plan Strategiczny dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027

ARiMR Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa

Dofinansowane przez Unię Europejską

Materiał opracowany przez Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Instytucja zarządzająca Planem Strategicznym dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Materiał dofinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027.

eprasa.pl 98fe2b04de

ZONDACRYPTO

Politycznie i śledczo. Kolejne kroki prokuratury w sprawie Zondacrypto

Afera Zondacrypto ma swoje odbicie w polityce, ale jednocześnie trwa śledztwo, są kolejne zatryzmania. – W prokuraturze są taśmy dot. sprawy Zondacrypto - powiedział szef MS, prokurator generalny Waldemar Żurek. Poinformował też prokuratura ma hipotezę roboczą dotyczącą tego, co stało się z b. szefem giełdy kryptowalut Sylwestrem Suszkiem, który zaginął w 2022 r.

oprac. Karolina Wrońska

Waldemar Żurek zaznaczył jednak, że nie może przekazać, kogo dotyczą te nagrania. Poinformował także, że prokuratura ma hipotezę roboczą dotyczącą tego, co stało się z b. szefem giełdy kryptowalut Sylwestrem Suszkiem.

Żurek w Polsat News podkreślił, że nagrania nie stanowią elementu szantażu wobec osób potencjalnie powiązanych ze sprawą giełdy kryptowalut. - Jak pojawił się przełom w śledztwie, to jak w przysłowiu polskim, „uderz w stół, a nożyce się odezwą", natychmiast pan Moskal (poseł PiS Michał Moskal - red.) zaczął publikować, gdzie był i z kim, wcześniej pan Piesiewicz (prezes PKOl Radosław Piesiewicz - red.) zaczął tłumaczyć się z zegarka(...). Widać, że część tego świata politycznego, który dzisiaj jest w opozycji, a tak mówił dużo, o takim państwie, które jest państwem silnym i ściga przestępców, w rzeczywistości tworzył mafijne układy - komentował Żurek.

Dopytywany, czy nagrania te mogą „wycieknąć" z prokuratury, szef MS stwierdził, że „oczywiście prokuratura cieknie". - Muszę to powiedzieć z bólem i ja wszczynam śledztwa, żeby złapać tych, którzy te informacje wynoszą, dlatego, że one psują prowadzenie śledztwa - podkreślił.

Minister sprawiedliwości poinformował ponadto, że prokuratura dysponuje hipotezą roboczą dotyczącą tego, co stało się z zaginionym Sylwestrem Suszkiem - założycielem poprzedniczki Zondacrypto, giełdy kryptowalut BitBay. Zaznaczył, że nie może tej hipotezy przedstawić publicznie. Na uwagę prowadzącego, że z środowej konferencji Żurka wywnioskował, że Suszek nie żyje, Żurek odpowiedział, że jest to „poprawny tok myślenia".

- Rodzina Suszka jest w takim stanie rozpaczy, że wszystko wskazuje na to, że rzeczywiście to jest jednak zabójstwo - powiedział Żurek.

Postępowanie w sprawie giełdy kryptowalut Zondacrypto zostało wszczęte przez Prokuraturę Regionalną w Katowicach 17 kwietnia br. pod kątem oszustw znacznej wartości i prania brudnych pieniędzy. Dotychczas wpłynęło kilka tysięcy zawiadomień o przestępstwie.

Na początku sierpnia br. śledztwo w sprawie Zondacrypto zostało połączone z postępowaniem w śląskim wydziale PK związanym z zaginięciem Sylwestra Suszka – założyciela poprzedniczki Zondacrypto, giełdy kryptowalut BitBay. Suszek zniknął w marcu 2022 r. Połączone śledztwo prowadzi obecnie śląski wydział PK.

W ub. czwartek w ramach śledztwa zatrzymany został prezes PKOl Radosław Piesiewicz. Tego samego dnia w śląskim wydziale Prokuratury Krajowej usłyszał zarzuty płatnej protekcji oraz zaspokojenia grupy wierzycieli Zondacrypto z pokrzywdzeniem innych w związku z grożącą niewypłacalnością. Nie przyznaje się do winy. Po przesłuchaniu podejrzanego, który wyraził zgodę na używanie jego pełnego nazwiska, prokuratura skierowała do sądu wniosek o aresztowanie szefa PKOl na trzy miesiące, na co sąd się zgodził.

Giełda kryptowalut Zondacrypto od października 2025 była sponsorem generalnym PKOl. W kwietniu tego roku Piesiewicz poinformował, że jeśli do końca miesiąca nie wpłynie kolejna transza środków, komitet zerwie umowę. 30 kwietnia podjęto decyzję o wygaszeniu i demontażu neonu sponsora z siedziby komitetu w Warszawie.

W ub. tygodniu pojawiły się doniesienia m.in. o spotkaniu w 2025 r. posła PiS Michała Moskala oraz byłego funkcjonariusza CBA Artura Chodzińskiego z Kralem. Według portali, poseł chciał współpracować z giełdą Zondacrypto, która kilka miesięcy później upadła. Moskal oświadczył, że z Kralem rozmawiał tylko raz. Podkreślił, że ani on, ani fundacja, z którą współpracuje (Fundacja ORGiD - Obserwatorium Rozwoju Gospodarki i Demokracji - red.), nie podjęli współpracy z Zondacrypto i jego prezesem oraz nie przyjęli od nich żadnych środków.

W środę na polecenie prokuratury policjanci zatrzymali trzy osoby ws. Zondacrypto. W toku prowadzonych przeszukań zabezpieczono m.in. luksusowe auta, zegarki, biżuterię oraz znaczną ilość gotówki. Po południu ws. Zondacrypto doprowadzony do delegatury Prokuratury Krajowej w Katowicach został inwestor giełdowy Rafał Zaorski. Według mediów Zaorski miał związki z zaginionym Sylwestrem Suszkiem i jego giełdą kryptowalut BitBay, która działała przed Zondacrypto.



FOT. PAP/JAREK PRASZKIEWICZ

W środę na polecenie prokuratury policjanci zatrzymali kolejne trzy osoby ws. Zondacrypto

REKLAMA 0111556299



eprasa.pl 98fe2b04de

MATERIAŁ INFORMACYJNY LPP

0111553412

Sinsay będzie miał szerszą ofertę. Otwiera się na inne marki i uruchamia marketplace.

Sinsay wchodzi na kolejny poziom rozwoju i znacząco poszerza ofertę. Dotychczasowy asortyment uzupełnią produkty innych marek. Nie tylko modowe, ale też dla domu, rodziny czy do pielęgnacji. W ofercie pojawiają się m.in. produkty Adidas, Nike, L'Oréal, Maybelline czy Bourjois.

13 lat ewolucji

Sinsay jest przykładem szybkiego wzrostu skali działalności. Powszechnie znana marka pojawiła się na rynku zaledwie 13 lat temu, a dziś liczba jej sklepów sięga blisko 3 tysięcy. Znana jest nie tylko w Polsce, ale również poza jej granicami – Rumunii, Węgrzech, Czechach, Litwie, Grecji, a nawet we Włoszech. W krótkim czasie stała się dostępna również w internecie. Obecnie zakupy online w Sinsay mogą robić klienci z blisko 20 krajów Europy. I chociaż dzisiaj nie każdy o tym pamięta, na początku była to marka wyłącznie z asortymentem modowym dla nastolatek.

Konsumenci stawiają na smart shopping

Transformacja Sinsay dokonywała się równolegle ze zmianami zachodzącymi w zachowaniach klientów. Współczesny klient nie myśli kategoriami produktowymi. Nie zastanawia się, w którym sklepie kupić bluzę, a w którym lampę, kosmetyki czy akcesoria dla dziecka. Myśli potrzebami. Zakupy mają być szybkie, wygodne i w dobrej cenie. Ale nie impulsywne. Koniec z poczuciem zmarnowanego czasu i niepotrzebnie wydanych pieniędzy. Konsumenci coraz częściej stawiają na smart shopping. Robią zakupy w sposób świadomy i przemyślany, kierując się rzeczywistą potrzebą, porównują ceny, możliwości dostawy, zasady zwrotów i reklamacji. Nie zmienia się jedno - cały czas chcą mieć możliwość znalezienia wszystkiego w jednym miejscu.

Asortyment Sinsay powiększy się

Dlatego dziś Sinsay to już nie tylko odzież, ale też akcesoria, artykuły wyposażenia



wnętrz i produkty codziennego użytku. Marka podąża za oczekiwaniami klientów. Jej transformacja trwa.

O tym, że Sinsay trzyma rękę na pulsie, świadczy chociażby to, że w sierpniu tego roku marka postanowiła uruchomić marketplace i po raz pierwszy otworzyła swoją platformę sprzedażową na zewnętrznych partnerów handlowych. W ofercie pojawią się kategorie komplementarne wobec segmentu modowego. Już dziś znaleźć tam można kosmetyki takich firm, jak L'Oreal czy Maybelline, ale także buty sportowe Nike, Adidas czy Skechers.

Jak podaje LPP, właściciel marki, celem nie jest stworzenie miejsca, w którym można kupić wszystko. Sinsay chce oferować coraz większą liczbę produktów odpowiadających potrzebom jego klientów i ich rodzin.

Co istotne, marka nie postawiła na stworzenie nowej platformy, ale na wykorzystanie dotychczasowej, ale wzbogaconej o wiele nowych produktów, których dotąd w ofercie marki brakowało. Marketplace jest integralną częścią istniejącego ekosystemu Sinsay. Klienci korzystają z tego samego środowiska zakupowego, mogą nadal używać programu Sinsay Club niezależnie czy kupować będą produkty Sinsay, czy też asortyment innych marek dostępnych na platformie. Korzyść dla klienta ma być jedna – ma on zyskać teraz dostęp do znacznie szerszej oferty produktowej przy jednoczesnym wykorzystaniu dotychczasowych benefitów, jak choćby punktów lojalnościowych uprawniających go do zniżek. W pierwszej kolejności rozwijane będą kategorie naturalnie uzupełniające ofertę Sinsay, takie jak kosmetyki, zabawki, obuwie, artykuły do domu i akcesoria. Plany rozwoju platformy zakładają przekroczenie progu 100 tys. sztuk produktów w 2027 roku. Wtedy też marka planuje wejście z platformą marketplace na pierwszy rynek zagraniczny.

REKLAMA

0111553413



eprasa.pl 98fe2b04de

POLITYKA

Prof. Konarski: Polacy dzisiaj nie chcą rewolucji. Trudno będzie powtórzyć mobilizację z wyborów z 2023 roku

– Polaryzacja zostanie, ponieważ jest ona odzwierciedleniem plemiennego podziału politycznego w polskim społeczeństwie. Nie zmienia się głębokie pęknięcie między nami. Szukanie porozumienia nawet w sprawach fundamentalnych jest trudne – mówi prof. Wawrzyniec Konarski, politolog, rektor Akademii Finansów i Biznesu Vistula

Agaton Koziński

Został rok do wyborów. Czy właśnie następuje koniec rządów Tuska i Kaczyńskiego?

Z założenia jestem przeciwnikiem nadmiernie radykalnych uproszczeń, zwłaszcza w polityce. Nie będę zapowiadał żadnego końca, tym bardziej że – póki co – go nie widać. Niemniej, największym przełomem w tym roku jest zapoczątkowanie fundamentalnych zmian w PiS. Ta partia głównego nurtu polskiej prawicy ulega fragmentacji. Wyłoniła się z niej frakcja Morawieckiego, co oznacza kompletną zmianę w tym nurcie.

Nie pierwszy raz w historii PiS dochodzi do takiej sytuacji – ale w dłuższej perspektywie poprzednie wyjścia różnych grup sytuacji tej partii nie zmieniały.

Tak, ale teraz idzie to w parze z niezwykle silnym wzmocnieniem roli prezydenta. Jego obecne poparcie w kategoriach instytucjonalno-państwowych jest moim zdaniem ponad miarę, ale z perspektywy politycznej nie ma to znaczenia. Już widać, że Karol Nawrocki w żadnym wypadku nie będzie Andrzejem Dudą bis. On – w przeciwieństwie do swojego poprzednika – wyraźnie dąży do zerwania jakiejkolwiek zależności od Jarosława Kaczyńskiego. Prognozowałem to tuż po jego wyborze. Zbiega się to z wyraźnym zmierzchem wodzowskiego modelu uprawiania polityki partyjnej przez lidera PiS. To także definiuje obecną sytuację polityczną.

Ale czy zmierzch przywództwa Kaczyńskiego oznacza koniec ery polaryzacji między PiS-em i Koalicją Obywatelską? W przyszłorocznych wyborach może pojawić się nawet osiem samodzielnych list wyborczych z szansami na wejście do Sejmu. Czy to koniec duopolu? Czy odwrotnie: bardzo dużo musi się zmienić, żeby wszystko zostało po staremu?

Dziś struktura systemu partyjnego stała się bardzo płynna, czego owocem może być wiele list w wyborach. Pewnie nie będzie ich ośmiu, bo zakładam, że zasadne dla premiera Tuska byłoby stworzenie wspólnej listy Koalicji z lewicą, pozostałościami po Hołowni, a być może także z PSL-em. Pytanie, jak ułoży się rzeczywistość na prawicy, jak będzie wyglądała zdolność do kooperacji prawicy radykalnej i tej, nazwijmy to roboczo, mainstreamowej albo głównego nurtu. Zakładam, że ich porozumie-

REKLAMA 0011573558

18 75
SOLANKI
Uzdrowisko Inowrocław

Jesienią Czas na zdrowie

Zakwaterowanie
3 posiłki dziennie w formie bufetu szwedzkiego
Konsultacja lekarska
4 zabiegi dziennie (oprócz niedziel i dni świątecznych)
90 min. dziennie w Strefie Relaksu (sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)
Voucher do Integracja Cafe
Minimum 7 osobodni w terminie 11.10.2026-23.12.2026



52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320
medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl
www.solanki.pl

Materiały graficzne wykorzystane w reklamie zostały wygenerowane przy użyciu sztucznej inteligencji (AI).

eprasa.pl 98fe2b04de

niu będzie patronować prezydent Nawrocki, który jest ewidentnie politykiem zafascynowanym cezaryzmem. Stosuje on inteligentną ze swojego punktu widzenia, taktykę stania trochę ponad sporem politycznym, ale jednocześnie koncentruje swoją uwagę nad prawicą w szerokim rozumieniu. Nie wykluczam, że będzie chciał odegrać rolę jednoczyciela ugrupowań prawicowych.

W ten sposób Nawrocki wchodzi w buty Kaczyńskiego, który do tej pory stał na czele zjednoczonej prawicy. Z drugiej strony Tusk cały czas utrzymuje pozycję zdecydowanie lidera obozu liberalno-lewicowego. Czyli polaryzacja pozostanie w takiej formie, w jakiej ją do tej pory obserwowaliśmy.

I ta polaryzacja zostanie, ponieważ jest ona odzwierciedleniem plemiennego alias trybalnego podziału politycznego w polskim społeczeństwie. Nie zmienia się bowiem głębokie pęknięcie między nami. Ta dychotomia sprawia, że szukanie porozumienia między obiema stronami nawet w sprawach fundamentalnych jest bardzo trudne.

Tylko czy Polacy nie są zmęczeni tym właśnie trybalizmem?

Werbalnie, tak. Ale nie sprawi to, że polaryzacja zniknie – sprawi natomiast, że znacząca część wyborców utrzyma swoją niechęć do uczestniczenia w polityce. I to będzie, myślę, klęska wszystkich ugrupowań. Dziś, powtórka z mobilizacji w roku 2023 z korzyścią dla obecnie rządzących, jest zwyczajnie nierealna.



FOT. PAP/ADAM WARZAWA

Prof. Konarski: Już widać, że Karol Nawrocki w żadnym wypadku nie będzie Andrzejem Dudą bis. Jedynym rozwiązaniem Tuska jest ucieczka do przodu

Czyli na tym akurat straci przede wszystkim większość rządowa?

Właśnie. Jest bardzo duża skala rozczarowań społecznych po tej stronie, która wspierała obecnie rządzących. Dlatego większość sejmowa musi szukać nowego sposobu na to, żeby zmobilizować swoich wyborców, bo w tej chwili grozi jej, że zostaną oni w domu.

Elektoraty obu stron mobilizować będą kolejne skandale. Tylko w te wakacje mieliśmy aferę w Szpitalu Południowym, wyłudzanie odszkodowań dla powodzian, czy wreszcie aferę Zondacrypto. Wszystkie te sytuacje wiążą się bezpośrednio z KO i PiS. Może

REKLAMA 0211461412



REKLAMA 0011559347



eprasa.pl 98fe2b04de

Polacy jednak posłuchają innych partii, które powtarzają, że „PiS-PO jedno zło”?

Takie hasło może brzmieć dla wyborców atrakcyjnie, tylko że Polacy nie są wciąż rozwiniętym społeczeństwem obywatelskim, w którym na fali niezadowolenia może się pojawić oddolny lider – trybun ludowy.

Andrzej Lepper był takim liderem.

Owszem – ale to było na początku transformacji. I nawet jemu nie udało się zmienić kształtu polskiej polityki.

Dziś terminem „lud” można nazwać osoby obecne w mediach społecznościowych. Za ich pomocą swoją pozycję budują choćby liderzy Konfederacji.

Można przyjąć taką wersję, ale dalej uważam, że to za mało, by w ten sposób ostatecznie zakończyć fazę polaryzacji. Polacy w swojej masie ergo nie chcą rewolucji. Jednak obecnie żyjemy w naszym „lokalnym” dobrobycie: pensje są wypłacane regularnie, służba zdrowia działa, choć na nią narzekamy, gospodarka się rozwija. Oczywiście, wiem, że opieka zdrowotna jest piętą achillesową każdego polskiego rządu, ale też Polacy do pewnego stopnia z tymi problemami się oswoili. W związku z tym nie ma szczególnego napięcia wokół hasła: odsuńmy wszystkich od władzy, dajmy szansę tym, którzy do tej pory nie rządzili. Zwycięża myślenie w kategoriach: lepsza praktyka wrogiem dobrej teorii.

Rozumiem, że stawia pan tezę, że w wyborach za rok dwa pierwsze miejsca w wyborach zajmą Koalicja oraz PiS. A kto będzie trzeci?

Wszystko wskazuje na to, że Konfederacja – chyba że jej liderzy pokłócą się ze sobą, co jednak przed wyborami trzeba wykluczyć. Konfederaci muszą utrzymać, a nawet poprawić swoje wyniki, jeśli mają zamiar po wyborach aspirować do jeszcze ważniejszych ról. Natomiast cały czas pojawia się pytanie, czy dzisiejsze wyniki sondażowe Grzegorza Brauna to kres jego możliwości, czy też one jeszcze wzrosną. Choć paradoksalnie najwięcej zamieszania pojawi się przy ugrupowania Mateusza Morawieckiego ...

Najwięcej? Ma szansę stać się trzecią siłą?

Nie – ale widzę w nim polityka, który będzie w stanie pokazać, że ma dla każdego coś do zaoferowania. Dziś jest on w stanie złożyć trzy różne oferty. Dlatego nie wykluczam, że to on okaże się – przynajmniej czasowo - największym beneficjentem obecnych przetasowań politycznych.

Żeby być beneficjentem czegokolwiek w nowym Sejmie, najpierw trzeba zdobyć minimum 5 procent w wyborach.

Oczywiście, ale wydaje się, że z tym nie będzie miał problemu. Dziś jest on atrakcyjny z perspektywy aż trzech różnych grup wyborczych. Po pierwsze, dla wyborców PiS, którzy nie są do końca przekonani do kursu tej partii po nominacji Przemysława Czarnka na premiera in spe. Po drugie, oferta byłego premiera może się okazać atrakcyjna również dla części wyborców, którzy w 2023 r. głosowali na Trzecią Drogę. Ale jest tu również oferta dla Donalda Tuska.

W jakim sensie?

Dziś panowie się werbalnie nie znoszą, ale w sytuacji, gdy sondaże pokazują znaczący wzrost rangi obu Konfederacji, to współpraca z Morawieckim może się okazać atrakcyjnym rozwiązaniem pozwalającym zatrzymać ewentualny pochód po władzę ugrupowań radykalnie prawicowych.

Zakłada pan koalicję Tuska i Morawieckiego?

Nie wykluczam jej. Jeśli Tusk będzie miał poparcie w wyborach rzędu 25-30 proc., to nie będzie mógł odrzucić wariantu koalicji także z Morawieckim.

Dogadają się na to przed wyborami?

Nie ma mowy o tym, żeby zrobili to w sposób jawny. Ale nie możemy wykluczyć sytuacji, że po wyborach - jeśli stawką będzie utrzymanie władzy - Tusk zdecyduje się na tego typu ustępstwa.

Morawiecki w nowym Sejmie będzie miał kilkunastu posłów. Wchodząc do rządu Tuska otrzyma pewnie mało znaczący resort i kilku wiceministrów. Warto dla tak niewielkich zysków palić mosty potencjalnej współpracy z PiS? Straciłby tylko cnotę, ale rubla by nie zyskał.

Dlatego nie sądzę, żeby Morawiecki poszedł na taki układ, który pan opisał. Jeśli się na to zdecyduje, to tylko wtedy, kiedy będzie wysoka stawka. Na przykład fotel premiera.

Tylko czy polityk mający po swojej stronie maksymalnie 20 posłów może być premierem?

Zgoda, że bliższe jest to modelowi parlamentaryzmu negatywnego, czyli skandynawskiemu. Dlatego w tym momencie to tylko moja spekulacja. Ale nie mam wątpliwości, że Morawiecki może zyskać szerszą możliwość gry.

I według pana będzie grał o fotel szefa rządu?

On będzie grał przede wszystkim o to, żeby się zrewanżować Kaczyńskiemu i Czarnkowi. Tego ostatniego nie uznaje za partnera i będzie szukał różnych sposobów, by to udowodnić.

Rozważa pan scenariusz współpracy Tuska z Morawieckim. Ale czy przypadkiem „Rozwój plus” nie jest projektem, który ma przyciągnąć przede wszystkim rozczarowanych wyborców obecnej koalicji rządowej? Tych jest coraz więcej.

Zgadza się. Morawiecki będzie działał dwutorowo. Z jednej strony będzie starał się poszukiwać zwolenników wśród wyborców PiS, którzy zaczynają wątpić w dotychczasowy, skrajnie wodzowski kierunek tej partii. Zakładam zresztą, że jeszcze jakaś część posłów PiS do niego przed wyborami dołączy, bo widać tam coraz większe rozczarowanie właśnie tym archaicznym stylem przywództwa Kaczyńskiego. Z drugiej zaś stanie się ofertą dla rozczarowanych wyborców partii rządzących. W ten sposób może stworzyć siłę, która będzie odgrywała kluczową rolę przy rozmowach koalicyjnych w kolejnych rozdaniach – niemal w każdej konfiguracji.

Jakie opcje ma dzisiaj Tusk? Po stronie rządzących wyraźnie widać zużycie władzą. Dziś wyglądają jak po siedmiu latach rządów, a nie jak po trzech. Co w takiej sytuacji może on zrobić?

W jego sytuacji jedynym rozwiązaniem jest ucieczka do przodu. Tusk musi zrobić coś, co pozwoli mu pokazać, że cały czas posiada siłę sprawczą.

W jakim obszarze jest to realne?

Na pewno dobry efekt przyniosłoby poprawienie stanu finansów publicznych, ich konsolidacja i stworzenie przesłanek, że nie nastąpi ich załamanie.

Projekt budżetu na przyszły rok nie idzie w tym kierunku – podobnie zresztą jak przedstawione już zmiany w systemie podatkowym.

Tak, te zmiany podatkowe są coraz bardziej krytykowane, kiedy się mówi o tym, że wcale klasa średnia na tym specjalnie nie zyska, a stracą na nich najsłabiej sytuowani.

Rząd regularnie przypomina o KPO i SAFE.

Tylko z kolei, gdy słyszę o SAFE, to przed oczami mam pożar w fabryce dronów w Skarżysku-Kamiennej. I od razu rodzi mi się w głowie pytanie: to może lepiej nie budować niczego z SAFE, bo przynajmniej nie będzie czego spalić obcym dywersantom. I poważnie: nie umiem pojąć logiki, zgodnie z którą informuje się opinię publiczną o wszystkich działaniach dotyczących polityki obronnej. Cała mechanika podawania danych o polskim potencjale obronnym jest formą aberracji. Nie rozumiem tego.

Z drugiej strony rząd chwali się zakupami sprzętu bojowego. To będzie miało efekt wyborczy? To może stać się wyborczym Wunderwaffe?

Nie. Taką Wunderwaffe mogą się okazać jedynie działania poprawiające grubość portfela Polaków.

Sam pan przed chwilą podkreślał, że pod tym względem nie jest źle, a Polaków stać na wakacje pod palmami.

Wizerunkowo stać nas na wakacje pod palmami, ale to wcale nie znaczy, że są regiony w Polsce, których mieszkańcy mogą sobie na to pozwolić w takim stopniu jak w innych. Odczuwalne działania na rzecz wyrównania tych szans mogłyby się okazać kluczowe do przekonania tych wyborców, którzy są jeszcze niezdecydowani.

Najbiedniejsze regiony to są te, w których zawsze wygrywa PiS. Platforma nie zrobi nic, co by mogło wzmocnić elektorat politycznych rywali – w drugą stronę zresztą też ta zasada obowiązuje.

Tylko że bez takich działań nie uda się poszerzyć własnej bazy wyborczej. Alternatywa jak u Forsytha – diabelska.

Generalnie widać trend mocnego skrętu w prawo w całej Europie – Donald Tusk mówił zresztą o tym podczas ostatniego Campus Polska. W jaki sposób lewicowo-liberalna koalicja może się przed tym bronić?

Tylko za pomocą transferów społecznych. Musiałaby przedstawić pakiet socjalny, który objąłby statystycznie wpływowe grupy wyborcze. To by sprawiło, że wyborcy nie mieliby potrzeby zmieniać rządzących. Tylko że ten rząd, mając obecne problemy budżetowe, nie jest w stanie czegoś takiego zaproponować.

Kolejne propozycje z tego zakresu składa PiS.

Tak jest, ale jest to pomysł nieodpowiedzialny i osłabiający finanse państwa. Skoro jednak PiS wysuwa takie propozycje, to tym trudniej będzie je rządowi przebić. Ucieczka rządzących do przodu może natrafić na mur niemożności.

Teraz pan mówi, że koalicja rządowa idzie na ścianę.

Tak. Proszę zauważyć, że coraz większa grupa ekspertów gospodarczych uważa, że ta sytuacja z deficytem budżetowym, gigantycznym długiem publicznym nie może trwać wiecznie. Na razie minister Andrzej Domański zupełnie dobrze sobie radzi z tymi problemami. Pytanie, jak długo jeszcze zdoła zachować obecny stoicki spokój, wiedząc doskonale, jaka jest stawka.

Pan przewiduje właśnie, że na dzisiaj zanosi się na utratę władzy przez obecną koalicję rządzącą.

Na dzisiaj tak. Nie ma realnych wartości arytmetycznych i statystycznych, na podstawie których można byłoby prorokować, że ten rząd stwarza przesłanki ku swej w reelekcji.

Kto go zastąpi?

Dziś układa się to w hipotetyczny rząd, w którego skład mogą wejść PiS, grupa Morawieckiego i Konfederacja Mentzena-Bosaka. Tyle że powstanie takiego rządu w żadnym wypadku nie jest gwarancją stabilności. Ani politycznej, ani gospodarczej. Do tego dochodzi Karol Nawrocki, który będzie odciskał swoje piętno na tej układance. Dużo mówiąc o systemie prezydenckim, którego chciałby w Polsce, nie precyzuje zarazem, o co dokładnie mu chodzi. Przypominam, że w żadnym państwie europejskim nie ma takiego systemu rządów. Ale obecnie takie dyskusje schodzą na dalszy plan. W realnej polityce tu i teraz jego pozycja rośnie.

Co go buduje?

Choćby takie sytuacje jak teraz ta z podpaleniem fabryki w Skarżysku-Kamiennej. Jest ona dowodem na ślamazarność państwa. W takiej sytuacji wychodzi Karol Nawrocki i grzmi, że jest za silnym państwem i chce zmienić ten system. To jeszcze podnosi stawkę gry, zwiększając poczucie braku bezpieczeństwa. Obawiam się eskalowania takiej tendencji.

eprasa.pl 98fe2b04de

WOJNA HYBRYDOWA

Rosja chce osłabić wsparcie Zachodu dla Ukrainy

Konflikt dyplomatyczny w związku z sabotażem na lotnisku w Lipsku, kolejne groźne incydenty – wszystko wskazuje na to, że Niemcy stały się głównym celem rosyjskiej wojny hybrydowej. Zagrożony nie jest już tylko przemysł zbrojeniowy wspierający Ukrainę, ale też cywilna infrastruktura energetyczna

Grzegorz Kuczyński

Od miesiąca można mówić o prawdziwej rosyjskiej ofensywie w wojnie hybrydowej prowadzonej z Zachodem. Takiej intensywności aktów sabotażu i to coraz groźniejszych jeszcze nie było.

Wiąże się to z zaostrzeniem retoryki przez Władimira Putina – także wobec Ukrainy. Zresztą akcje agentów rosyjskich w Europie mają ścisły związek z wojną – dla Kremla obszar UE/NATO stał się po prostu kolejnym polem konfliktu. Atakowane są cele w różnych krajach, także w Polsce, ale to Niemcy znalazły się przede wszystkim na celowniku Moskwy. Berlin w końcu stanowczo zareagował. . Dlaczego Kreml zdecydował się tak bardzo zaostrzyć relacje z krajem, który jeszcze jakiś czas temu uważano za nie tak znów jastrzębi w obozie zachodnim, jeśli chodzi o reakcje na inwazję na Ukrainę i działania hybrydowe przeciwko Europie?

Niemcy oskarżają Rosję o sabotaż

Niemiecki minister spraw wewnętrznych Alexander Dobrindt ogłosił we wtorek wieczorem, że to Rosja odpowiada za sierpniowy incydent z dronem z materiałami wybuchowymi na lotnisku w Lipsku. Dodał, że w odpowiedzi Niemcy zamkną konsulat generalny Rosji w Bonn i położony w centrum Berlina Rosyjski Dom, oficjalnie - ośrodek promujący rosyjską kulturę. - Rosja przeprowadziła atak hybrydowy na Niemcy i musi liczyć się z konsekwencjami - powiedział w środę szef niemieckiego MSZ Johann Wadephul. Podkreślił, że reakcja jego państwa była „konieczna i proporcjonalna". Zapowiedział dodatkowe sankcje wobec Moskwy.

Sabotaż na lotnisku w Lipsku

Niemieckie media informowały w środę o zatrzymaniu dwóch podejrzewanych o próbę ataku na ukraiński samolot w Lipsku. To mężczyzna z łotewskim paszportem, urodzony w Rosji, oraz Rosjanin pochodzący z Białorusi - podał dziennik „Sueddeutsche Zeitung" oraz rozgłośnie publiczne NDR i WDR.

W nocy z 4 na 5 sierpnia w pobliżu lotniska w Lipsku na wschodzie Niemiec samolot transportowy DHL zderzył się z niezidentyfikowanym obiektem. Wcześniej lotnisko wstrzymało działalność po tym, gdy na jego płycie przy ukraińskim samolocie transportowym Antonow znaleziono dron wyposażony w detonator i materiały wybuchowe. Zgodnie z ustaleniami niemieckich służb, dron znaleziony na lotnisku celowo uderzył wcześniej w skrzydło zaparkowanego Antonowa. Materiały wybuchowe nie eksplodowały jednak po zetknięciu z maszyną. Lotnisko w Lipsku to trzeci największy w Europie hub cargo. Niemieckie siły zbrojne i sojusznicy z NATO transportują zaopatrzenie wojskowe przez to lotnisko, które służy również jako baza dla ukraińskich linii lotniczych Antonov Airlines.

Rosja weźmie odwet

Putin oskarżył władze Niemiec o sfabrykowanie dowodów na zaangażowanie jego kraju w incydent z dronami na lotnisku w Lipsku i nazwał podjęte przez rząd w Berlinie kroki odwetowe „poważnym błędem".

Rzeczniczka rosyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Maria Zacharowa stwierdziła, że Niemcy „wymyśliły pretekst" do zamknięcia Domu Rosji i dodała, że „Moskwa udzieli odpowiedzi na wszystkie antyrosyjskie decyzje". Rosyjskie MSZ wezwało w środę niemieckiego ambasadora w Moskwie.

Także w środę służby w Niemczech odnotowały próbę sabotażu sieci energetycznej w Bergheim na zachodzie kraju. Dostawy energii w regionie nie zostały zakłócone.

We wtorek w Brandenburgii w gminie Turnow-Preilack, około 20 km od niemiecko-polskiej granicy, tamtejsze służby odkryły ładunek wybuchowy na stacji elektroenergetycznej. Miejscowy operator sieci, Amprion, potwierdził zdarzenie w oficjalnym komunikacie i poinformował o „dużym prawdopodobieństwie" ingerencji z zewnątrz.

- Wpisuje się to w szerszy schemat rosyjskich operacji hybrydowych w Europie – powiedział minister spraw zagranicznych Johann Wadephul. - Zaostrzamy kontrolę wjazdu obywateli Rosji – powiedział Wadephul, dodając, że Niemcy zaproponują wpisanie kolejnych Rosjan na listy osób objętych sankcjami UE.

Solidarni z Niemcami i Ukrainą

NATO i Unia Europejska szybko wyraziły poparcie dla Niemiec i oświadczyły, że działania Rosji nie przekonają ich do zmniejszenia wsparcia dla Ukrainy. Sekretarz generalny NATO Mark Rutte zadeklarował „pełną solidarność" i stwierdził, że sojusz będzie „nadal wzmacniał swoją zdolność do odstraszania i obrony wszystkich sojuszników przed wszelkimi zagrożeniami – w tym przed złośliwymi działaniami, takimi jak te, które miały miejsce w Lipsku i gdzie indziej".

Również na platformie X przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen stwierdziła, że UE wykazuje „pełną solidarność" z Niemcami, i zapewniła, że „ataki hybrydowe nie pozostaną bez wyraźnej odpowiedzi".



FOT. PAP/EPA

Ostatnio w Niemczech dochodzi do wielu aktów sabotażu. Np. w środę doszło do eksplozji w budynku dworca w Augsburgu

UE przygotowała już nowe sankcje wobec nawet 1 600 rosyjskich osób i podmiotów – głównie z rosyjskiego sektora obronnego – sugerując, by państwa członkowskie UE jednogłośnie zatwierdziły te wpisy na czarną listę w październiku.

Rosja uderza w pomoc dla Ukrainy

Systematyczny i zaplanowany charakter działań rosyjskich służb wywiadowczych, mających na celu zakłócenie i utrudnienie wsparcia wojskowego dla Ukrainy.

Federalna Prokuratura Niemiec postawiła już zarzuty osobom, które – według śledczych – utrzymywały kontakty z rosyjskim wywiadem i przygotowywały zamachy bombowe oraz podpalenia infrastruktury wojskowej i przemysłowej w celu osłabienia wsparcia wojskowego dla Ukrainy. W 2024 r. amerykańskie służby wywiadowcze ujawniły również rosyjski spisek mający na celu zamach na życie prezesa Rheinmetall, Armina Pappergera; NATO później publicznie zakwalifikowało ten incydent jako część szerszej kampanii sabotażowej wymierzonej w państwa Sojuszu.

Wydaje się zatem, że potencjalna rosyjska kampania rozciąga się na cały łańcuch dostaw wspierający Ukrainę: kadrę kierowniczą przedsiębiorstw zbrojeniowych, zakłady produkcyjne, trasy kolejowe, obiekty wojskowe, centra logistyki lotniczej oraz transport towarowy. Jej strategicznym celem może być nie tyle fizyczne zniszczenie poszczególnych przedsiębiorstw, co podwyższenie kosztów, ryzyka i politycznej ceny europejskiej współpracy obronnej z Ukrainą.

Eskalacja ataków i kluczowe ich cele

Niepokoić musi nie tylko rosnąca liczba incydentów, ale też eskalacja ich charakteru: rozpoznanie celów, przygotowanie podpaleń i ataków bombowych, ataki na logistykę, próby wywołania ryzyka katastrofy lotniczej, spiski mające na celu zabójstwo osób kierujących przemysłem obronnym.

Strategicznym celem kampanii jest już cały europejski ekosystem wsparcia obronnego dla Ukrainy. Jakie kategorie celów można wyróżnić? To przedsiębiorstwa bezpośrednio produkujące broń dla Ukrainy, europejskie zakłady ukraińskich firm zbrojeniowych, kadra kierownicza przemysłu zbrojeniowego i kluczowi inżynierowie, trasy kolejowe i węzły logistyczne, lotniska i operacje transportu lotniczego, bazy wojskowe i ośrodki szkoleniowe, magazyny amunicji i komponentów, łańcuchy produkcyjne oraz dostawcy komponentów.

Dlaczego wykorzystuje się „agentów jednorazowego użytku"?

Zamiast wysyłać do Europy profesjonalną ekipę sabotażową, Moskwa może polegać na agentach niskiego szczebla lub jednorazowych, rekrutowanych do konkretnego zadania. Niemiecki kontrwywiad coraz częściej opisuje rosyjskie operacje w następujący sposób: agenci mogą nie być profesjonalnymi oficerami wywiadu, mogą mieć jedynie ograniczoną wiedzę na temat ostatecznego zleceniodawcy i mogą być opłacani za rozpoznanie terenu, podpalenie, uszkodzenie sprzętu lub wykonanie innego ściśle określonego zadania.

Problem nie ogranicza się już do prób uszkodzenia sprzętu lub zakłócenia logistyki, ale rozciąga się na potencjalną fizyczną eliminację osób stanowiących kluczowe ogniwa europejskiego kompleksu przemysłowo-obronnego. Zgodnie z tą logiką dyrektor generalny dużej firmy zbrojeniowej staje się, z perspektywy rosyjskiego wywiadu, analogiczny do obiektu infrastruktury krytycznej.

Wykorzystanie nieprofesjonalnych agentów oferuje rosyjskim służbom wywiadowczym kilka korzyści. Zmniejsza to ryzyko utraty zawodowych oficerów, utrudnia ustalenie sprawczości, pozwala na szybkie skalowanie operacji oraz tworzy dodatkowy dystans między agentem a państwem, które go wspiera.

W następstwie masowych wydaleń rosyjskich oficerów wywiadu pracujących pod przykrywką dyplomatyczną w Europie po 2022 r. znaczenie takich pośredników naturalnie wzrosło. Przypadki z Niemiec pokazują, że agentom można powierzyć zadania takie jak rozpoznanie terenu, fotografowanie ładunków wojskowych, podpalenie lub niszczenie infrastruktury transportowej bez konieczności budowania klasycznej sieci agentów.

Przedłużenie wojny z Ukrainą

Ostatnia seria ataków wpisuje się w szerszy trend, w ramach którego rosyjskie służby przechodzą od operacji wywiadowczych i informacyjnych do działań kinetycznych poniżej progu otwartego konfliktu zbrojnego.

Doświadczenia niemieckie pokazują niemal pełne spektrum takich działań: rekrutację agentów niskiego szczebla, rozpoznanie obiektów wojskowych i przemysłowych, planowanie wybuchów i podpaleń, ataki na logistykę transportu towarowego oraz, według zachodnich służb wywiadowczych, przygotowania do zamachu na szefa firmy Rheinmetall.

Moskwa w coraz większym stopniu postrzega europejski kompleks przemysłu obronnego jako przedłużenie ukraińskiego teatru działań wojennych, a jego przedsiębiorstwa, sieci logistyczne i kadry kierownicze jako dopuszczalne cele tajnych operacji przymusu.

Dla oficerów wywiadu w Moskwie planujących sabotaż decydującym czynnikiem nie jest to, czy dany rząd jest „prorosyjski", czy „antyrosyjski", ale to, jaką funkcję pełni dany obiekt w ramach ukraińskiego systemu wojskowo-przemysłowego.

eprasa.pl 98fe2b04de

WOJNA HYBRYDOWA

Dr Adam Eberhardt: Putin pójdzie tak daleko, jak daleko mu pozwolimy

– Wobec ukraińskich ataków na Rosję Putin będzie zmuszony eskalować wojnę. Nie wykluczam dodatkowej mobilizacji ani zwiększenia brutalności, również wobec ukraińskich celów cywilnych. Testem rosyjskiej skuteczności będzie zbliżająca się zima – mówi dr Adam Eberhardt ze Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego

Anita Czupryn



FOT. IMAGO/BEAUTIFUL SPORTS/GOLDBERG/IMAGO STOCK AND PEOPLE/EAST NEWS

Dr Adam Eberhardt: Pamiętajmy o nauczce z początku 2022 roku: amerykańskie służby dużo wcześniej wiedziały, co planuje Putin, niż politycy czy eksperci państw europejskich

Najpierw na Campusie Polska Przyszłości w Olsztynie premier Donald Tusk ostrzegał, że Rosja szykuje się do eskalacji i że najbliższe siedem, osiem miesięcy będzie krytyczne. Następnie, podczas obchodów rocznicy wybuchu II wojny światowej na Westerplatte, mówił o prowokacjach wymierzonych w kolejne państwa Europy. Jak Pan odebrał te słowa?

To, że rosyjskie władze uważają, że są na wojnie z Zachodem, wiemy od wielu lat. Tak naprawdę również ultimatum postawione przez Rosję przed wybuchem wojny rosyjsko-ukraińskiej dotyczyło rosyjskich żądań związanych z bezpieczeństwem Europy Środkowej i przemodelowaniem ładu międzynarodowego. Zatem to, że Rosja jest wrogiem i podejmuje różne działania o charakterze hybrydowym, które mają nas osłabiać, nie jest żadną nowością. Pewną nowością mogą być natomiast konkretne przypuszczenia dotyczące tego, co i kiedy Rosja zamierza zrobić. Kluczowe jest to, czy dobrze przygotowujemy się do podobnych scenariuszy, jeżeli uważamy je za prawdopodobne.

Jeżeli najbliższe siedem, osiem miesięcy rzeczywiście będzie krytyczne, ludzie mają prawo zapytać: krytyczne, czyli jakie? Co może się w tym czasie wydarzyć? Czy premier ostrzega na podstawie konkretnych danych wywiadowczych, przygotowuje opinię publiczną na trudny scenariusz, czy przede wszystkim próbuje zmobilizować państwo i naszych sojuszników?

Nie wiem, co premier ma na myśli. Generalnie uważam, że lepszym rozwiązaniem byłoby unikanie zbyt otwartych deklaracji, mniejsza koncentracja na tego rodzaju komunikacji, a większa na działaniach przygotowujących nas na zagrożenia. Mam wrażenie, że na obecnym etapie taka komunikacja skutkuje przede wszystkim podsycaniem strachu i niepewności w społeczeństwie, a w żaden sposób nie przekłada się na potencjał obronny. Myślę tu o budowaniu naszego potencjału nie tylko przez zakupy sprzętu wojskowego, ale także o obronie cywilnej, szkoleniach wojskowych czy wręcz przywróceniu poboru, na co zdecydowało się kilka państw naszego regionu. W Polsce właściwie nie toczy się nawet taka debata. Od czasu do czasu otrzymujemy jedynie bardziej lub mniej alarmistyczne wypowiedzi polityków na temat nadciągających zagrożeń.

NATO mówi już o rosyjskich atakach hybrydowych. Mamy próbę ataku dronem w Lipsku, kolejne incydenty i podejrzenia dotyczące aktów dywersji w różnych częściach Europy. Każde z tych zdarzeń można potraktować oddzielnie, ale ułożone obok siebie zaczynają wyglądać jak elementy większej całości. Widzi Pan serię niezależnych incydentów czy skoordynowaną rosyjską operację przeciwko Europie?

Takich rosyjskich działań o charakterze wrogim wobec Europy jest wiele. Ich intencją jest podzielenie nas, osłabienie oraz wywołanie strachu, który zmniejszy naszą zdolność i gotowość do konfrontowania się z Rosją. Rosyjscy stratedzy uważają, że kluczem do zwycięstwa w tej konfrontacji jest mentalne rozbrojenie Zachodu. Otwartą kwestią pozostaje natomiast to, czy rosyjskie działania rzeczywiście doprowadzą do naszego osłabienia, czy wręcz przeciwnie – skonsolidują nas oraz pokażą i ujawnią prawdziwe intencje Rosji. Nieraz zdarzało się, że rosyjska strategia wymierzona w nas przynosiła skutki odwrotne do zamierzonych.

Jak daleko Putin może się posunąć? Co Rosja chce osiągnąć: wyrządzić realne szkody, przestraszyć ludzi, osłabić nasze wsparcie dla Ukrainy czy przede wszystkim sprawdzić, gdzie przebiega granica odporności NATO?

Generalnie Putin pójdzie tak daleko, jak daleko pozwolimy mu pójść, aż napotka nasz twardy opór. Pod tym względem rosyjska strategia jest elastyczna. Polega na testowaniu spójności i siły państw zachodnich oraz wkładaniu nogi tam, gdzie Rosjanie dostrzegają słabość. Ostatnio w mediach formułuje się wiele dość apokaliptycznych scenariuszy, łącznie z otwartym konfliktem zbrojnym Rosji z Zachodem. Na obecnym etapie taki scenariusz wydaje mi się bardzo mało prawdopodobny, co najmniej tak długo, jak trwa aktywna faza wojny rosyjsko-ukraińskiej. Ta wojna wiąże rosyjskie siły. Rosja ma problem z osiągnięciem swoich minimalnych celów terytorialnych związanych z wojną w Ukrainie, nie mówiąc już o celach politycznych, które również sobie stawia. Z rosyjskiej perspektywy byłoby wysoce nieroztropnr w tej sytuacji otwierać kinetyczny konflikt z państwami Zachodu, na przykład przez otwarty atak na kraje bałtyckie.

A może Rosja nie musi otwarcie atakować żadnego państwa? Czy przez prowokacje sprawdza, które z nich jest najsłabsze i czy pozostali rzeczywiście staną w jego obronie? Pytam także w kontekście słów Donalda Tuska, który 1 września na Westerplatte przypomniał o samotności Polski w 1939 roku. Czy dziś którekolwiek państwo NATO może zostać samo?

W ramach każdego sojuszu poszczególne państwa są bardziej skłonne do tego, by być odbiorcami bezpieczeństwa niż jego dawcami, i nie jest to nic zadziwiającego. My w Polsce patrzymy na NATO przede wszystkim jako na organizację, na sojusz, który ma gwarantować nasze bezpieczeństwo. Ale również jesteśmy zobligowani do wspierania obrony na przykład państw bałtyckich, jeżeli Rosjanie posuną się do ataku na nie. Polityka zagraniczna państw demokratycznych w dużym stopniu jest zakładnikiem emocji społecznych. Rosja chce to wykorzystać, podejmując działania, które mają nas rozmiękczyć, unaoczniając nam grozę wojny. Chodzi o to, aby w poszczególnych państwach Europy, przede wszystkim Europy Zachodniej, wyczerpało się społeczne przyzwolenie na wypełnienie zobowiązań sojuszniczych. Zniszczenie NATO jest fundamentalnym, podstawowym celem, który Rosjanie mogą sobie stawiać. Może się okazać, że nie trzeba do tego wysyłać wojsk ani dokonywać otwartej agresji na Łotwę czy Estonię – wystarczą działania hybrydowe.

Jak refren powraca pytanie o artykuł 5 NATO. Przywykliśmy myśleć o nim w kontekście klasycznej napaści zbrojnej, tymczasem Rosja działa poniżej progu otwartej wojny i utrudnia jednoznaczne wskazanie sprawcy. Czy artykuł 5 można uruchomić w odpowiedzi na akt sabotażu? Gdzie kończy się prowokacja, a zaczyna atak? Czy brak stanowczej odpowiedzi nie przekonuje Putina, że może posunąć się jeszcze dalej?

Rosja testuje nas i posuwa się tak daleko, jak może. Proszę jednak zauważyć, że ostatnie pięć lat to okres, w którym Rosja nie tylko nie osiągnęła swoich celów strategicznych, lecz także zdołała przekonać państwa europejskie, że stanowi realne zagrożenie, któremu trzeba się przeciwstawiać choćby przez odbudowę zdolności wojskowych. Myślę, że pod tym względem w ostatnich latach doszło do dość pozytywnego przełomu. Podstawowe pytanie brzmi: czy wystarczającego?

Wiele interpretacji pojawiło się przy okazji niespodziewanej wizyty dyrektora CIA Johna Ratcliffe'a w Moskwie. Jedni mówią, że zagrożenie musiało być wyjątkowo poważne, skoro poleciał tam osobiście. Inni, że miał powiedzieć Rosjanom: „Wiemy, co planujecie". Generał Roman Polko w roz-

eprasa.pl 98fe2b04de

mowie z „Rzeczpospolitą" wskazywał z kolei, że głównym tematem mógł być Iran. Która hipoteza wydaje się Panu najbardziej prawdopodobna?

Oczywiście nie wiemy, jaka była tematyka rozmów dyrektora CIA w Moskwie. Możemy co najwyżej próbować ją rekonstruować na podstawie priorytetów polityki amerykańskiej. Wydaje się, że na tym etapie tematy irańskie są dla prezydenta Trumpa najistotniejsze. Pamiętajmy jednak o nauczce z początku 2022 roku, sprzed pełnoskalowej agresji: amerykańskie służby dużo wcześniej wiedziały, co planuje Putin, niż politycy czy eksperci państw europejskich. Nie można wykluczyć, że i teraz strona amerykańska starała się odwieść Rosjan od działań, o których planowaniu wie. Inną kwestią jest to, na ile taka wizyta może być skuteczna. Ostrzeżenia amerykańskie sprzed pięciu lat nic nie zmieniły – Rosja rozpoczęła wojnę, której nie potrafi wygrać, a która niesie spustoszenie obu stronom.

Może być skuteczna? Czy samo ujawnienie Rosjanom, że ich zamiary zostały rozpoznane, wystarczy, aby się wycofali? Może Kreml potraktuje takie ostrzeżenie jako potwierdzenie, że za pomocą gróźb znów zmusi Zachód do negocjowania na swoich warunkach?

Myślę, że rosyjska kultura strategiczna jest generalnie oparta na czymś, co nazwałbym blefem imperialnym. To działanie mające zastraszyć oponenta w nadziei, że za pomocą radykalnych posunięć i niechęci do kompromisu uda się ostatecznie wynegocjować więcej niż przez spolegliwość i otwartość na szukanie porozumienia.

Niedawno nad Polską i Bałtykiem odbyły się ćwiczenia z udziałem kilkudziesięciu samolotów. Dla przeciętnego człowieka tak duża aktywność wojskowa może być równie uspokajająca, jak niepokojąca. Czy to była rutynowa demonstracja gotowości, czy odpowiedź na konkretne zagrożenie? NATO ćwiczy odstraszanie Rosji?

Musimy pamiętać, że odstraszanie jest połączeniem kategorii wojskowej i psychologicznej. Warunkiem skutecznego odstraszania jest posiadanie sprzętu i uzbrojenia, którym można powstrzymać przeciwnika. Nie mniej ważna jest jednak psychologiczna gotowość do użycia tych sił. Jedno bez drugiego jest bezużyteczne. Z punktu widzenia NATO istotne jest więc połączenie tych dwóch elementów: odbudowa potencjału wojskowego państw, ale również trwałe pokazywanie stronie rosyjskiej, że w sytuacji zagrożenia i konfliktu jesteśmy zdecydowani sięgnąć po te siły i udzielić twardej odpowiedzi. Musimy prężyć muskuły, żeby Rosjanie nie popełnili kosztownego dla obu stron błędu i nie założyli, że jesteśmy bezbronni.

W debacie powróciła również groźba użycia przez Rosję taktycznej broni jądrowej w Ukrainie. Taki komunikat szczególnie silnie działa na wyobraźnię ludzi, ponieważ większość z nas nie potrafi ocenić, gdzie kończy się propaganda, a zaczyna realne niebezpieczeństwo. Istnieją jakiekolwiek sygnały, że tym razem nie jest to wyłącznie rosyjski szantaż? Mógł się ten temat pojawić podczas wizyty szefa CIA w Moskwie? Po czym zachodnie służby rozpoznałyby, że Rosja przechodzi do konkretnych przygotowań?

Użycie taktycznej broni jądrowej to ulubiona rosyjska groźba natury retorycznej, mająca na celu zastraszenie społeczeństw zachodnich, które są bardzo wrażliwe na kwestie nuklearne. Nie wydaje mi się jednak, aby ten scenariusz był na tym etapie poważnie rozpatrywany na Kremlu.
Po pierwsze, użycie takiej broni eskalowałoby trwający konflikt do bardzo niebezpiecznego poziomu, grożąc odpowiedzią amerykańską, choćby tylko konwencjonalną. Po ewentualnym użyciu przez Rosję taktycznej broni jądrowej uruchomione zostałyby zapewne określone procedury wojskowe. Mogłyby okazać się one dla Rosji bardzo kosztowne. Po drugie, pamiętajmy o czynniku chińskim. W interesie Chin nie leży eskalowanie konfliktów regionalnych do poziomu, na którym chiński potencjał jest wyraźnie mniejszy od amerykańskiego. Chiny nie są zainteresowane tym, aby broń jądrowa stała się instrumentem bieżącej polityki i prowadzenia konfliktu. I wreszcie trzeci element: nie jest do końca jasne, co Rosja mogłaby osiągnąć wobec Ukrainy przez użycie taktycznej broni jądrowej, czego nie zdołała osiągnąć przez pięć lat brutalnej, bezwzględnej wojny konwencjonalnej.

Gdyby miał Pan postawić najbardziej prawdopodobną hipotezę: co Rosja może zrobić w ciągu najbliższego półrocza? Czy czeka nas przede wszystkim dalsza eskalacja wojny przeciwko Ukrainie, czy także coraz śmielsze działania wymierzone w państwa wspierające Kijów?

Myślę, że wobec ukraińskich ataków na Rosję Putin będzie zmuszony eskalować napięcie. Nie wykluczam ogłoszenia mobilizacji w Rosji i rzucenia na front dodatkowych 200-300 tysięcy żołnierzy. Na pewno będziemy mieli do czynienia ze zwiększeniem brutalności tej wojny, również jeśli chodzi o ataki na ukraińskie cele cywilne. Testem rosyjskiej skuteczności będzie zbliżająca się zima: na ile Putinowi uda się sparaliżować Ukrainę przez ataki na infrastrukturę energetyczną. Zarazem rosnąć będzie liczba incydentów w relacjach z państwami NATO w celu zniechęcenia nas do twardej polityki powstrzymywania Rosji.

REKLAMA 0011570411



eprasa.pl 98fe2b04de

STOPKLATKA



FOT. WESTERPLATTE

↑

1 września na Westerplatte zebrali się najważniejsi krajowi politycy, by wspólnie upamiętnić 87. rocznicę napaści Niemiec na Polskę w 1939 r. W przemówieniach prezydenta Karola Nawrockiego i premiera Donalda Tuska nie zabrakło akcentów współczesnych i nawiązań do bieżącej polityki. Znów się potwierdziło, że każde pokolenie pisze swoją wersję historii



FOT. PAP/EPA/IGOR KOVALENKO

↑

Inauguracja VI Światowych Igrzysk Koczowników w Kirgistanie miała wyjątkowo efektowną oprawę. Gospodarze się postarali, bo w tych zawodach nie chodzi tylko o sport. Zbiegły się one ze szczytem Szanghajskiej Organizacji Współpracy, na którym pojawili się m.in. przywódcy Rosji, Turcji, Indii, Iranu, wysocy rangą politycy z Chin. Na kilka dni Biszkek stał się polityczną stolicą świata

→

Wybory lokalne w Saksonii-Anhalt urastają do rangi najpoważniejszego testu politycznego dla kanclerza Niemiec Friedricha Merza (po prawej). W sondażach wyraźnie prowadzi AfD, detronizując CDU/CSU. Jeśli AfD rzeczywiście osiągnie świetny wynik w niedzielnych wyborach, może to skutkować nawet dymisją Merza ze stanowiska kanclerza.



FOT. PAP/EPA/FILIP SINGER



FOT. PAP/EPA/FABIO FRUSTACI

←

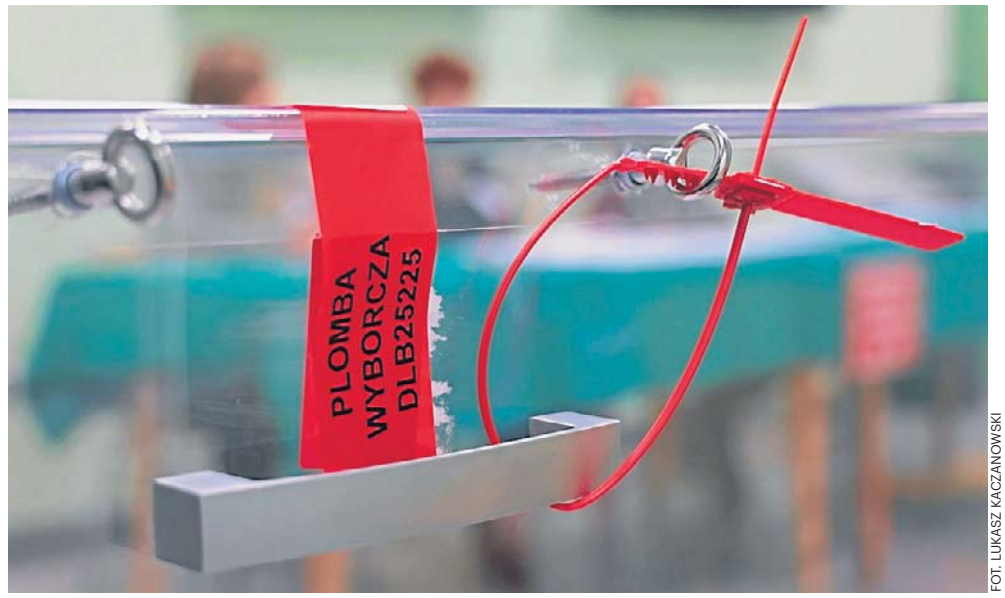
Amerykański gwiazdor George Clooney otrzymał Złotego Lwa za całokształt dokonań aktorskich na trwającym właśnie 83. Festiwalu Filmowym w Wenecji. Sam festiwal budzi kontrowersje; dopuścił do konkursu rosyjski film.

eprasa.pl 98fe2b04de

SAMORZĄDY

Ochrona przed patologią czy zamach na samorządność?

– Od weryfikacji i przerywania złych rządów są obywatele, a nie posłowie, senatorowie czy prezesi partii, którym przeszkadza, że od trzydziestu lat ich kandydat nie może wygrać wyborów lokalnych – mówi prof. Mariusz Bidziński z Uniwersytetu SWPS



FOT. ŁUKASZ KACZANOWSKI

Ostatnie wybory samorządowe odbyły się w kwietniu 2024 roku. Kadencje są pięcioletnie, więc następne odbędą się w 2029 r.

Tomasz Dereszyński

Panie Profesorze, zacznijmy od fundamentalnego argumentu, który od ponad stu pięćdziesięciu lat porządkuje myślenie o władzy. Słynna teza Lorda Actona głosi: władza korumpuje, a władza absolutna korumpuje absolutnie. Czy brak ograniczeń kadencyjnych w samorządach nie prowadzi wprost do realizacji tego czarnego scenariusza? Moje obawy na polskim podwórku są jasne – bez ustawowego limitu dochodzi do zabetonowania lokalnych układów, powstawania klik, a w skrajnych przypadkach do jawnej korupcji. Dwukadencyjność to konieczny bezpiecznik.

To nośne, publicystyczne hasło, które świetnie brzmi, ale w rzeczywistości jest głęboko szkodliwe. Wprowadzanie limitu dwukadencyjności dla organów wykonawczych w samorządzie terytorialnym budzi moje istotne wątpliwości zarówno co do podstaw faktycznych, jak i z punktu widzenia konstytucyjnego. To jest ewidentne ograniczenie samodzielności i samorządności społeczności lokalnej. Na jakiej podstawie odgórnie decydujemy, co jest dobre dla mieszkańców?

Chociażby na podstawie obrony przed „wiecznymi włodarzami". W mniejszych gminach ryzyko zabetonowania sceny i powstania układu klientelistycznego na piętnaście czy dwadzieścia lat jest niezwykle realne. Długa władza sprawia, że instytucje przestają służyć ludziom, a ludzie zaczynają służyć instytucjom. Rotacja elit przynosi świeże pomysły, zapobiega zmęczeniu władzą i oderwaniu od rzeczywistości. Co w tym złego, że państwo przeciwdziała takim patologiom?

Złem jest stosowanie odpowiedzialności zbiorowej. Jeśli w jakiejś gminie przez dwadzieścia lat powstał układ patologiczny, to ustawodawca przerzuca ten zarzut na wszystkie pozostałe jednostki w Polsce, gdzie żadnych patologii nie ma, a włodarz po prostu robi świetną robotę. Przecież podstawą demokracji jest to, że o wyborze decydują lokalni mieszkańcy, a nie politycy z Warszawy. Jeśli obywatele są zadowoleni ze swojego wójta czy burmistrza, to dlaczego na siłę, sztucznymi barierami instytucjonalnymi, mamy im go zabierać? To wyraz braku zaufania do inteligencji wyborców.

Ale czy naprawdę wierzy Pan, że w małej społeczności lokalny obywatel ma realną siłę, by bez pomocy ustawy rozbić zabetonowany układ?

Oczywiście, że ma. Od weryfikacji i przerywania złych rządów są obywatele, a nie posłowie, senatorowie czy prezesi partii, którym przeszkadza, że od trzydziestu lat ich kandydat nie może wygrać wyborów lokalnych. Mieszkańcy mają do dyspozycji realne instrumenty: mogą po prostu nie zagłosować na dotychczasowego wójta w kolejnych wyborach, mogą wybrać radę gminy będącą w kontrze do organu wykonawczego, a wreszcie mają instytucję referendum odwoławczego, czego świetnym przykładem były niedawne wydarzenia w Krakowie.

Referenda bywają trudne do przeprowadzenia i kosztowne. Może więc rozwiązaniem pośrednim byłoby to, co znamy m.in. z niektórych stanów w USA – limit kadencji pod rząd, ale z możliwością powrotu do kandydowania po jednej kadencji przerwy? Taka pauza dałaby wspomniane „przewietrzenie" i czas na odpoczynek.

Taki model – dwie kadencje, przerwa i możliwość ponownego startu – jest już bardziej racjonalny i wart rozważenia. Natomiast największym problemem obecnej sytuacji jest całkowity brak logiki i spójności systemowej. Wprowadzono limit dwukadencyjności wyłącznie dla organów wykonawczych samorządów, nie opierając tej decyzji na jakichkolwiek badaniach naukowych, analizach ekonomicznych, społecznych czy prawnych. To była decyzja czysto polityczna, a nie przemyślana reforma prawa. Dlaczego ograniczamy tylko wójtów, burmistrzów i prezydentów, a pomijamy starostów czy marszałków województw?

Jeśli więc dwukadencyjność jako zasada ma u nas pozostać, to Pana zdaniem należy ją rozszerzyć również na inne grupy, na przykład na parlamentarzystów?

Dokładnie tak. Skoro wnioskodawcy twierdzą, że limitowanie kadencji jest jedynym lekiem na kolesiostwo, układy i betonowanie sceny, to bądźmy konsekwentni i zastosujmy to systemowo w całym państwie. Wprowadźmy limit maksymalnie dwóch kadencji dla posłów, senatorów, a nawet ministrów. Co więcej, moim zdaniem to właśnie na poziomie parlamentarnym zjawiska patologiczne, betonowanie układów i dbanie o własne interesy są znacznie większe i groźniejsze niż w samorządach. W małej polityce lokalnej PiS, PO i PSL i inne partie potrafią świetnie współpracować przy konkretnych projektach, podczas gdy na szczeblu centralnym mamy do czynienia z nieustanną, niszczącą wojną partyjną.

W parlamencie rotacja jednak następuje przy każdych wyborach.

Ale liderzy i układy personalne pozostają bez zmian od lat. Co ważne, na posłów i senatorów nie mamy takiego „trzymania" jak na samorządowców. Sejmu i Senatu nie da się odwołać w trakcie kadencji za pomocą referendum obywatelskiego. Jeśli więc ktoś w Polsce jest naprawdę nieusuwalny przez czas trwania mandatu, to właśnie politycy w Warszawie. Ograniczenie im kadencji do np. maksymalnie ośmiu lat zmusiłoby ich do realnej pracy nad obietnicami wyborczymi, bo wiedzieliby, że ich czas jest policzony. To mógłby być skuteczny bat na polityków i szansa na zakończenie trzydziestoletniej wojny polsko-polskiej.

Skoro krytykuje Pan brak logiki w zmianach samorządowych, to jak ocenia Pan wydłużenie kadencji samorządowej z czterech do pięciu lat? Przecież to daje włodarzom więcej czasu na realizację trudnych inwestycji.

W dzisiejszych czasach rok to bardzo długo; wszystko dzieje się niezwykle dynamicznie. Uważam, że dotychczasowy okres czteroletni był optymalny. Tłumaczenie tego wydłużenia nakładaniem się kalendarzy wyborczych było całkowicie chybione – w perspektywie kilkudziesięciu lat wybory i tak będą się na siebie nakładać. To kolejny przykład zmian robionych ad hoc, bez systemowej refleksji.

Patrząc na ten chaos legislacyjny, czy receptą nie byłaby po prostu głęboka nowelizacja konstytucji? Może wzorem Stanów Zjednoczonych powinniśmy wprowadzać punktowe poprawki korygujące ustrój?

Zmiany w ustawie zasadniczej można wprowadzać tylko wtedy, gdy po stronie dyskutantów mamy ludzi inteligentnych, merytorycznych i odrzucających czystą politykę. Przy obecnym, skrajnym konflikcie i próbach wprowadzania na siłę systemów quasi-prezydenckich, wiercenie dziur w konstytucji skończy się tylko pogorszeniem sytuacji. Problem zresztą nie leży w samej konstytucji, ale w złej woli polityków, którzy interpretują jej przepisy wyłącznie pod własny, bieżący interes polityczny, ignorując jej treść i intencje twórców.

Może więc błąd tkwi w samym systemie rekrutacji do polityki? Czy nie powinniśmy wprowadzić obiektywnych kryteriów dla kandydatów na posłów czy senatorów, na przykład wymogu wyższego wykształcenia, chociażby prawniczego?

Zdecydowanie nie. Dyplom wyższej uczelni ani nawet tytuł naukowy przed nazwiskiem nie są żadną gwarancją inteligencji, zdolności koncepcyjnych czy umiejętności zarządzania. Często ludzie bez wyższego wykształcenia mają większe doświadczenie życiowe i są bardziej rozgarnięci od profesorów. Jedyne ograniczenie, nad którym poważnie bym się zastanowił, to wiek. Obecna granica 18 lat do Sejmu wydaje się zbyt niska. Podniesienie jej do 25 lub 30 lat mogłoby zagwarantować, że do parlamentu trafiać będą osoby bardziej dojrzałe, odporniejsze na manipulacje i negatywne wpływy polityczne.

Podsumowując: Pana recepta na uzdrowienie samorządu to likwidacja sztucznej dwukadencyjności, ale przy wprowadzeniu pełnej transparentności umów i dokumentów finansowych urzędów w czasie rzeczywistym?

Dokładnie tak. Obywatele muszą mieć bieżący, natychmiastowy wgląd w każdą umowę i każdą wydaną złotówkę z ich podatków, a nie czekać na ujawnienie afer po kilku latach. Pełna jawność powstrzyma patologie znacznie skuteczniej niż zakazy kadencyjne. Jeśli mamy ograniczać kadencje, róbmy to mądrze, systemowo i przede wszystkim zacznijmy od samej góry – od Sejmu i Senatu.

eprasa.pl 98fe2b04de

AFERA ZONDACRYPTO

Robert Korzeniowski: Nie ma przestrzeni, by Radosław Piesiewicz kierował PKOl

– To od początku było działanie gangsterskie: „Zróbmy razem coś niegodziwego albo poszukajmy korzyści dla ciebie. No to będziesz siedział, siedziała cicho". Robert Korzeniowski mówi o tym, że trzeba teraz rozwikłać wszystkie zagadki gmatwaniny, którą zafundował aresztowany prezes PKOl Radosław Piesiewicz

Anita Czupryn



FOT. JULIA BROCHOCKA

Robert Korzeniowski: Najważniejsze, żeby PKOl znowu zaczął się kojarzyć z organizacją godną zaufania, reprezentującą ruch olimpijski i olimpijczyków, a nie z platformą biznesową

Czy Radosław Piesiewicz może jeszcze kierować Polskim Komitetem Olimpijskim?

Nie ma dziś do tego żadnego tytułu. Uważam, że tytuł moralny został jednoznacznie skasowany. Jest dziś w areszcie, usłyszał zarzuty, w związku z czym obciążają go również sprawy prawno-karne. Jego funkcjonowanie w ramach Polskiego Komitetu Olimpijskiego narusza porządek działania organizacji pozarządowej, podważa zaufanie do samej organizacji, czyli jej szkodzi. Nie ma dziś absolutnie żadnej przestrzeni na to, żeby Radosław Piesiewicz formalnie kierował Polskim Komitetem Olimpijskim, a nawet miał na niego jakikolwiek nieformalny wpływ.

Dlaczego środowisko sportowe nie potrafiło odwołać go wcześniej, chociaż już wcześniej sygnalizował Pan poważne nieprawidłowości?

Środowisko sportowe potrzebowało jakiejś opcji atomowej, żeby wyrwać wszystkich z osłupienia. Szczerze mówiąc, wiele osób nie wierzyło, że to jest możliwe, że skala naruszeń jest aż tak wielka i że wszystko jest aż tak oczywiste. Opublikowana dziś umowa PKOl z Zondacrypto obnaża właściwie handel ludźmi w PKOl. Nawet osoby dość sceptycznie oceniające Radosława Piesiewicza nie mogły podejrzewać, że coś takiego stanie się faktem, że zostanie zapisane na papierze i ktoś sformułuje takie zapisy formalne. Trzeba też jasno powiedzieć, że środowisko sportowe nie jest mocno osadzone w rozumieniu niuansów prawa administracyjnego czy karnego. Brak zrozumienia i woli konfrontowania się z tymi trudnymi zagadnieniami sprawił, że trochę wypierano potrzebę osobistego zaangażowania i pozostawiano sprawę powołanym do tego organom. Tymczasem statut PKOl wyraźnie określa charakter tej organizacji. Nie musimy czekać na rozstrzygnięcia prawomocnych sądów, tylko mamy obowiązek dbać o dobry wizerunek i sprawne funkcjonowanie organizacji jako takiej. A tego, niestety, nie było.

Profesor Michał Romanowski przygotował dla Stowarzyszenia OlimpijczycyPL opinię, z której wynika, że Piesiewicza można odwołać. Są jednak ludzie, którzy go bronią. Otylia Jędrzejczak mówiła, że nie można go odwołać. Kto nie zna statutu, a kto używa go jako wymówki?

Przesłałem Otylii Jędrzejczak opracowanie profesora Romanowskiego, ponieważ ono nie jest tajne ani sporządzone wyłącznie na potrzeby OlimpijczykówPL. Stowarzyszenie, którym mam zaszczyt kierować, podzieliło się tym raportem ze wszystkimi, z którymi mogło. Przekazałem tę opinię prawną także sekretarzowi generalnemu PKOl z prośbą, aby mogło się z nią zapoznać jak najszersze grono. Mam nadzieję, że Otylia po przeczytaniu tej opinii zmieni zdanie. Ona także uległa czarowi Radosława Piesiewicza. Jest jak z kłamstwem wielokrotnie powielanym: on tyle razy mówił, że nie można go odwołać i że statut stoi za nim, iż masa ludzi w to uwierzyła, nawet tego nie sprawdzając. Podobnie jak wówczas, gdy wszystkim powtarzał, że każda forma sprzeciwu i brak akceptacji dla jego osoby są deklaracją polityczną oraz przejawem woli politycznego podziału PKOl. Wiele osób w to uwierzyło, ponieważ było to powtarzane jak mantra. Czas, który mamy teraz, powinien każdego z nas skłaniać do skupienia, zastanowienia się nad tym, co i jak robimy, do odczarowania pewnych twierdzeń, które chodzą nam po głowie, do powiedzenia: „Sprawdzam" albo: „Idę jeszcze głębiej". Czasem potrzebny jest po prostu weekend czy dłuższy wieczór z dokumentami, żeby się z nimi zapoznać i nie posługiwać się obiegowymi opiniami. Temu ma służyć opinia profesora Romanowskiego. Zapewne jedna z wielu, ale dla mnie bardzo istotna. Z całą pewnością powinna nieco ośmielić nasze środowisko do skuteczniejszego działania. Z tej opinii wyraźnie wynika, że zarząd ma ogromne znaczenie. Nie chodzi o to, co może prezes i czy zwoła posiedzenie, czy go nie zwoła. To członkowie zarządu są dziś najważniejszym organem nadającym kierunek funkcjonowaniu PKOl. Wszyscy członkowie zarządu, nie tylko prezydium, które jest organem wykonawczym. Dlatego cieszę się, że po wstępnej zapowiedzi, iż 8 września zbierze się tylko prezydium, pojawiła się również wola zwołania pełnego zarządu. Mam nadzieję, że spotka się on w formule jak najszerszej, także hybrydowej, pozwalającej uczestniczyć wszystkim, którzy mają problemy logistyczne z dotarciem do Warszawy.

Skoro zarząd może odwołać Piesiewicza większością dwóch trzecich głosów, co naprawdę stoi na przeszkodzie: prawo czy brak odwagi?

Myślę, że na tym etapie ani prawo, ani brak odwagi. Jeżeli cokolwiek może stać na przeszkodzie, to brak refleksji albo niezapoznanie się z możliwościami, które mamy. Może bardziej brak wiary w siebie i w to, co możemy zrobić. Uważam, że potrzebujemy wiary w to, że możemy działać. Nie tylko możemy, ale mamy obowiązek działać. To również jest bardzo ważne, jeżeli chcemy znaleźć się po stronie tych, którzy będą pozytywnie wpływać na przyszłość PKOl. Mamy obowiązek myśleć o tym, co będzie dalej, a nie zajmować się jedynie dzisiejszą potencjalną układanką administracyjno-prawną. Bardzo ważne jest, żeby do tej dyskusji dołączyć powód, dla którego to robimy, a nie tylko powód, dla którego czegoś nie chcemy.

Jeżeli uchwała zostanie zaskarżona i PKOl będzie miał dwóch prezesów, kto weźmie odpowiedzialność za prawny chaos?

Jeżeli uchwała zostanie zaskarżona, to proszę bardzo: Piesiewicz czy ktokolwiek inny może ją zaskarżyć. Zostanie wybrany prezes i, krótko mówiąc, ten prezes oraz zarząd będą musieli wziąć odpowiedzialność za to, co robią. To jest dla mnie dziś oczywiste. Mówimy o organizacji, nie starajmy się zanadto personifikować tej odpowiedzialności. Mamy do czynienia ze szczególną organizacją parasolową, ze stowarzyszeniem stowarzyszeń. W statucie jest zapis, że wyłączne prawo do jego interpretacji ma zarząd PKOl. Jeżeli zarząd PKOl interpretuje statut w taki sposób, że może coś zrobić, to znaczy, że może.

Mówił Pan, że Piesiewicz uwiódł środowisko. Pana też uwiódł?

Nie. Ani przez moment, absolutnie. Przełknąłem gorzką pigułkę, kiedy odbyły się wybory. Znam okoliczności usunięcia Andrzeja Kraśnickiego, byłego prezesa PKOl, z rozgrywki wyborczej. Nie chcę teraz cytować sam siebie, ale powiedziałem wprost: poczekamy i zobaczymy, co przyniesie ten nowy prezes. Naprawdę byłem bardzo sceptycznie nastawiony, ale czasami bywa tak, że ktoś jest rady-

eprasa.pl 98fe2b04de

kałem, obiecuje gruszki na wierzbie w kampanii wyborczej, a potem organizacja go układa, cywilizuje. Tutaj było dokładnie odwrotnie. Było jeszcze gorzej niż w czasie kampanii wyborczej. Byli uwiedzeni, ale byli też wplątani w interesy Radosława Piesiewicza. Działając również w dobrej wierze dla swoich związków sportowych, zgadzali się na upokarzające kontrakty marketingowe podpisywane z PKOl. Komitet z naruszeniem zasad statutu reprezentował w tym zakresie spółki Skarbu Państwa. To w ogóle były skandaliczne działania. Byli też tacy, którzy otrzymywali wprost pensje od PKOl; pensje, których wcześniej nie ujawniano. Zostały ujawnione dopiero w raporcie komisji rewizyjnej i później stały się przedmiotem dyskusji. To od początku było takie działanie gangsterskie: „Zróbmy razem coś niegodziwego albo poszukajmy korzyści dla ciebie. No to będziesz siedział, siedziała cicho". To bardzo blokowało myślenie, aż pojawiły się fakty bardziej znaczące. Chyba nastąpiło też szersze otwarcie oczu. Poza takimi osobami, jak Andrzej Supron, Tadeusz Mytnik, a także Mieczysław Nowicki i Teresa Sukniewicz-Kleiber, czyli, w gruncie rzeczy, osobami, które zawsze bardzo szanowałem jako sportowców, a które dziś stanęły w obronie Piesiewicza, nadają jego narrację i legitymizują jego niegodziwości, właściwie nikt już w ostatnim czasie go nie popiera.

Kiedy zrozumiał Pan, że z PKOl dzieje się coś złego? Jak szybko stało się to widoczne?

Bardzo szybko. Po igrzyskach europejskich, które odbywały się w czerwcu i na początku lipca 2023 roku, razem z Mają Włoszczowską staraliśmy się zaproponować Radosławowi Piesiewiczowi pewien rodzaj pomocy. Nie była to deklaracja lojalności, ale propozycja wsparcia PKOl w działaniach międzynarodowych, ponieważ widzieliśmy, że nic dobrego się tam nie dzieje. Nie było relacji z Europejskim Komitetem Olimpijskim. Później zobaczyłem, że nie ma również żadnej woli współpracy przy budowaniu relacji z Francuzami i ambasadą Francji, która przed igrzyskami w Paryżu zaproponowała współdziałanie oraz stworzenie platformy porozumienia. Doskonale wiedziałem, że nic dobrego z tego nie będzie. Kiedy Radosław Piesiewicz – było to chyba pod koniec lata lub wczesną jesienią – ogłosił, że chce zmienić statut, zagwarantować sobie osiem lat prezesury, a następnie zmienić go tak, by osłabić między innymi szczególne umocowanie praw kobiet i zasadę równouprawnienia płci, znieść parytety oraz zmienić pozycję Trybunału Arbitrażowego do spraw Sportu – było to dla mnie coś skandalicznego. Myślę, że Rubikonem dla nas wszystkich był grudzień 2023 roku, kiedy wspólnie odrzuciliśmy jego propozycję statutu. Radosław Piesiewicz szykował się do spotkania wigilijnego, a zamiast słodkich życzeń i dzielenia się opłatkiem musiał przyjąć porażkę. To już było wyraźne działanie oparte na faktach. Piesiewicz został wybrany w kwietniu, ale później zajmowałem się jeszcze igrzyskami europejskimi. On nawet nie pojawiał się w loży, i nie mówię o wyróżnieniu czy samej loży, tylko o relacjach z Europejskim Komitetem Olimpijskim. Po igrzyskach wróciłem i próbowałem znaleźć przestrzeń dla racjonalnego funkcjonowania, bo przecież został wybrany demokratycznie. Nie musiałem go lubić. Umarł król, niech żyje król – i trudno. Nie widziałem jednak żadnych szans na znalezienie czegoś pozytywnego w jego działalności. Jeżeli prześledzi pani moje wypowiedzi i reakcje na Zondacrypto, zobaczy pani, że nigdy nie powiedziałem niczego, co byłoby niezgodne z moim systemem wartości, ani niczego, co byłoby jakąś laurką dla Piesiewicza. W żadnym wypadku.

Mówił Pan, że nie wszystko jest na sprzedaż. Co w ruchu olimpijskim powinno pozostać bezcenne, nawet jeżeli oznacza to mniej pieniędzy?

Przede wszystkim poszanowanie godności zawodników. Jeżeli mamy partnerów ruchu olimpijskiego, powinni oni zostać dokładnie sprawdzeni i wyznawać te same wartości, co ruch olimpijski. Oni de facto stają się olimpijczykami. Stają się nimi dlatego, że są partnerami, a nie sponsorami czy zamawiającymi usługę reklamową. To musi zostać jasno powiedziane. Nie sprzedajemy ludzi, nie sprzedajemy wartości Komitetu Olimpijskiego, nie przekształcamy go w agencję marketingową, nie sprowadzamy wszystkiego do pieniędzy. Pieniądze przychodzą i odchodzą, czasy są różne. Jak widać, kryptowaluty również tracą na wartości. Tak naprawdę zostają medale, rekordy i historia. W tę historię nie wolno w taki sposób ingerować. Mamy w Komitecie Olimpijskim znakomitych ludzi, którzy mają dużo do przekazania społeczeństwu i następnym pokoleniom. Tym ludziom nie można kneblować ust. Absolutnie. PKOl musi być domem olimpizmu, a nie domem prezesa PKOl.

Kogo chroni statut PKOl: instytucję czy przede wszystkim prezesa?

Ten statut jest wynikiem wielu zmian wprowadzanych na przestrzeni lat. Dziś chroni instytucję. Nadmiernie chronił prezesa, ale to wcale nie znaczy, że tworzy z niego papieża czy emira Kataru. Nie jest tak, że prezes jest chroniony do tego stopnia, iż nie obowiązuje go już absolutnie żadne prawo. Działamy w państwie prawa. Mamy nad sobą akty wyższego rzędu, mamy konstytucję i do tego trzeba się odwoływać.

Jak odzyskać dziś zaufanie sportowców i sponsorów?

Najważniejsze, żeby PKOl znowu zaczął się kojarzyć z organizacją godną zaufania, reprezentującą ruch olimpijski i olimpijczyków, a nie z platformą biznesową. To jest dla mnie absolutnie kluczowe. Będzie wymagało ciężkiej pracy. Użyję tutaj tego stwierdzenia, które jest często przytaczane: las rośnie wolno, a płonie szybko. W tej chwili spłonął i teraz wolno będziemy to odbudowywać. Ważne, żeby ta odbudowa była zaplanowana i miała perspektywę, a wszystko, co nas czeka, opierało się na silnych podstawach moralnych oraz na ludziach sportu, a nie na nominatach biznesowo-politycznych.

Prezes PKOl powinien otrzymywać wysokie wynagrodzenie czy traktować tę funkcję jako służbę i honor?

Jeżeli zarząd tak uzna, prezes PKOl powinien oczywiście otrzymywać wynagrodzenie za swoją pracę, jeżeli jest to jego podstawowa działalność i rzeczywiście pracuje zawodowo na rzecz PKOl. Są ustalone zasady takiej płacy, są ustalone widełki. Uważam, że transparentna płaca na racjonalnym poziomie bardzo dobrze wiązałaby z organizacją zarówno prezesa, jak i członków zarządu, którzy potencjalnie byliby jego zawodowymi członkami. Nie ma nic zdrożnego w tym, że ktoś otrzymuje pieniądze za swoją pracę, pod warunkiem że rzeczywiście pracuje i że pieniądze są wypłacane na przejrzystych zasadach, za zgodą ciała kolegialnego, jakim jest zarząd, czyli reprezentacja całego środowiska olimpijskiego, a nawet całego środowiska sportowego, bo przecież nie chodzi wyłącznie o sport olimpijski.

Krytykował Pan prezesa za brak przejrzystości. Jakie standardy należałoby przyjąć? Czy wynagrodzenia, umowy, wydatki reprezentacyjne i zasady pozyskiwania sponsorów powinny być jawne?

Nie wszystko może być ujawnione, ponieważ niekiedy mamy do czynienia z tajemnicą handlową. Natomiast w zakresie prawnie możliwym – absolutnie tak. Kwoty sponsorskie oraz główne założenia umów powinny być jawne. PKOl jest organizacją zaufania publicznego, w związku z czym musimy ufać tej organizacji bezwarunkowo. Jeżeli chodzi o wynagrodzenia ludzi wybieralnych, czyli członków zarządu, i nie mówię o płacach osób zatrudnionych na umowę o pracę, specjalistów czy pracowników biurowych: powinniśmy znać cały budżet PKOl. To powinno być oczywiste. Wynagrodzenie prezesa czy ewentualnie członka zarządu powinno być absolutnie jawne i jawnie przegłosowane przez zarząd. W sprawozdaniu finansowym PKOl nie powinniśmy otrzymywać jednej pozycji „usługi obce", jak miało to miejsce ostatnio. Powinna być ona wyraźnie podzielona na poszczególne zakresy. Jeżeli na „usługi obce" przeznaczamy od kilkunastu do kilkudziesięciu milionów złotych, a pod tym określeniem może się mieścić właściwie wszystko, to nie wiemy, na co wydawano pieniądze PKOl. Do dziś nie wiemy, na co zostały przeznaczone kwoty, które nie trafiły do polskich związków sportowych, choć były przedmiotem umów PKOl ze spółkami Skarbu Państwa. Przypominam, że według raportu komisji rewizyjnej najwyżej 50 procent środków trafiało do organizacji sportowych, z którymi PKOl podpisywał porozumienia. Cała reszta została w PKOl. Nie wiemy, gdzie są.

Kto powinien zostać następnym prezesem?

Powinna to być osoba, która zagwarantuje pełnienie przez PKOl misji publicznej i będzie potrafiła połączyć umiejętność zarządzania organizacją będącą stowarzyszeniem stowarzyszeń z jej misją publiczną – krajową i międzynarodową. A kto to będzie personalnie? Tego zapewne dowiemy się dopiero podczas wyborów. Kto okaże się najlepszym kandydatem? Tego dowiemy się w toku dyskusji, która będzie teraz prowadzona. Musi się ona skupiać na tym, co przed nami i co powinno nastąpić po, miejmy nadzieję, że już nigdy niepowtórzonej epoce Piesiewicza. Taki będzie kandydat albo taka będzie kandydatka, jakie będą potrzeby PKOl.

Czy prezes PKOl może pełnić równocześnie inne funkcje związane ze sportem, np. doradcy ministra?

Absolutnie nie. Takich funkcji się nie łączy. Mam w tej sprawie bardzo jasny pogląd. Te dwa światy muszą zostać radykalnie rozdzielone, ponieważ funkcja szefa komitetu olimpijskiego wymaga pełnej autonomii i nie wolno jej łączyć z doradzaniem administracji rządowej.

Mamy w Komitecie Olimpijskim znakomitych ludzi, którzy mają dużo do przekazania społeczeństwu i następnym pokoleniom. Tym ludziom nie można kneblować ust. Absolutnie. PKOl musi być domem olimpizmu, a nie domem prezesa PKOl

ROBERT KORZENIOWSKI
sportowiec, olimpijczyk, prezes stowarzyszenia Olimpijczycy.pl

Co trzeba teraz zrobić z PKOl w pierwszej kolejności?

Z całą pewnością należy oprzeć się na jego funkcjonujących organach, czyli zarządzie i walnym zgromadzeniu. Wybrać tymczasowego lidera, ogłosić termin nowego walnego zgromadzenia sprawozdawczo-wyborczego albo stwierdzić, że odbędzie się ono w kwietniu – zgodnie z obowiązującą kadencją. Rozpocząć pracę nad zdefiniowaniem PKOl w nowych warunkach. Być może rozpocząć prace nad statutem, ponieważ zdecydowanie powinien zostać zmieniony. Skupić się z jednej strony wokół wartości i długoterminowego planowania, a z drugiej na porządkowaniu tego, co zostało po Radosławie Piesiewiczu. Ci, którzy będą teraz zarządzać PKOl w trybie dokończenia kadencji, staną przed ogromnym wyzwaniem: będą musieli rozwikłać wszystkie zagadki tej gmatwaniny, którą zafundował im prezes.

Ma Pan 58 lat, cztery olimpijskie złota i nazwisko, którym nie musi już Pan niczego udowadniać. Co jeszcze potrafi obudzić w Panu głód zwycięstwa? Gdzie widzi Pan dziś metę?

Jestem wizjonerem długodystansowym. Bardzo chciałbym, żeby Polska została kiedyś gospodarzem igrzysk, a sport, o którym dziś mówimy może bardziej w kategoriach wyników, stał się ważnym tematem życia Polaków. Uważam, że mamy na to ogromną szansę. Uważam, że w sporcie polskim są znakomici ludzie, którzy potrafią dzisiaj tę wizję olimpijską zrealizować, a nawet jeżeli byśmy nie mieli do czynienia z igrzyskami olimpijskimi w 2040 roku, to generalnie wprowadzić standardy olimpijskie do społecznego myślenia, czyli: szybciej, wyżej, mocniej, razem. To powinna być dewiza wszystkich Polaków, nie tylko samych olimpijczyków.

eprasa.pl 98fe2b04de

FILM



FOT. CC

Joanna Jabłczyńska i Danuta Stenka w filmie z 2004 r.

Afera „TosiaGate" trwa w najlepsze

Joanna Jabłczyńska nie zagra Tosi w nowej części „Nigdy w życiu!", a kulisy tej decyzji przerodziły się w medialną awanturę. W konflikt włączyły się Katarzyna Grochola oraz jej córka, Dorota Szelągowska. Padły mocne słowa i groźby prawne. Fani są wściekli i nawołują do bojkotu. O co chodzi w TosiaGate?

Marta Muniak

„Nigdy w życiu!", czyli jedna z najbardziej rozpoznawalnych i uwielbianych przez widzów polskich komedii romantycznych z 2004 roku, doczekała się swojej kontynuacji. Film w reżyserii Ryszarda Zatorskiego był prawdziwym hitem i sprawił, że gwiazda Danuty Stenki rozbłysła zupełnie nowym blaskiem. Produkcja opowiadająca o losach Judyty, która po rozwodzie postanawia zacząć swoje życie od nowa, powstała na podstawie niezwykle poczytnej powieści Katarzyny Grocholi o tym samym tytule.

Warto wspomnieć, że w 2006 roku powstała kontynuacja zatytułowana „Ja wam pokażę!". W roli Judyty wystąpiła Grażyna Wolszczak , a w roli Tosi mogliśmy oglądać Marię Niklińską . Niestety, film nie powtórzył sukcesu jedynki. Jeszcze gorzej było w przypadku serialowej wersji, która była emitowana w Telewizji Polskiej. Tym razem w rolę Judyty wcieliła się Edyta Jungowska, a jako Tosię zobaczyliśmy Julię Kamińską . Jak można się domyślić, widzowie nie byli zachwyceni trzecią zmianą aktorki. Jungowska została wówczas surowo oceniona. Fanom serii nie podobało się, że jej Judyta jest chaotyczna i roztrzepana. Choć taka wersja głównej bohaterki była bliższa jej książkowemu odpowiednikowi, to właśnie Danuta Stenka zapisała się w świadomości widzów jako kanoniczna Judyta.

Nic więc dziwnego, że kiedy gruchnęła wieść o tym, że Stenka ma powrócić w kontynuacji „Nigdy w życiu!" - „Właśnie, że tak! Nigdy w życiu! 20 lat później" - fani byli zachwyceni. Radość nie trwała jednak długo. Okazało się bowiem, że w roli córki Judyty nie zobaczymy ponownie Joanny Jabłczyńskiej.

Joanna Jabłczyńska idzie na wojnę z produkcją

Nikt chyba jednak nie spodziewał się, że brak w obsadzie właśnie tej aktorki wywoła aż taką burzę. Wszystko za sprawą samej Jabłczyńskiej, która postanowiła, że nie będzie przemilczać sprawy. Wręcz przeciwnie, zamiast chować się za kurtuazyjnymi ogólnikami, wprost opowiedziała, jak miała zostać potraktowana przez produkcję.

Wszystko zaczęło się na prezentacji ramówki TVN-u, gdzie Jabłczyńska została zapytana, czy pojawi się w „Właśnie, że tak!". Aktorka zakomunikowała, że w filmie się nie pojawi . Według Jabłczyńskiej zawiniła produkcja filmu, która początkowo miała kontaktować się z aktorką i obiecywać jej złote góry.

– Jest to dla mnie ogromny cios, niesprawiedliwość i cholernie mi jest ciężko się z tym pogodzić. (...) Ale z drugiej strony cieszę się, że ta gilotyna spadnie, że już to pójdzie, że na pewno internet zapłonie. Kontaktowałam się z produkcją. Inaczej powiem, produkcja ze mną się kontaktowała, więc ja wiem, co tam się wydarzyło i dlaczego. Na razie zostawię to im. Jestem bardzo ciekawa co oni powiedzą, jestem bardzo ciekawa ich narracji. Ja prawdę znam, żadna umowa lojalnościowa mnie z nimi nie łączy, więc mogę powiedzieć, co sobie życzę, ale mimo wszystko już i tak dużo mnie kosztuje powiedzenie tego, że nie będę Tośką w tym filmie, więc może będą mieli odwagę, chociaż powiedzieć dlaczego - mówiła rozgoryczona w rozmowie z Plejadą.

Jabłczyńska nie tylko znalazła odwagę, aby opowiedzieć o tym, dlaczego nie pojawi się w filmie, ale nie zabrakło jej też konsekwencji, by przez kolejne dni punktować produkcję oraz osoby związane z powstającym filmem. Aktorka wyznała, że miała już nawet scenariusz na mailu, ale ostatecznie, za sprawą tajemniczego podmiotu finansującego film, miało dojść do zmiany aktorki.

Produkcja broniła się, twierdząc, że odtwórczyni roli Tosi została wyłoniona w drodze castingu, w którym miała brać udział również sama Joanna Jabłczyńska. Ostatecznie w rolę Tosi wcieli się Agnieszka Żulewska.

Tak całą sprawę tłumaczyła współproducentka, Anna Wichłacz na łamach Pudelka: - Były ze mną wstępnie ustalane terminy nagrań, poznałam mojego potencjalnego partnera do grania w filmie. A następnie otrzymałam telefon, iż podmiot, który wykłada bardzo duże pieniądze na najnowszą produkcję, ma swoją kandydatkę na Tośkę. Pewnie część z was podzieli moje zdanie, że tak robić nie można, natomiast jak widać, produkcja uznała, że właśnie tak - powiedziała w dramatycznym filmie opublikowanym na swoim koncie na Instagramie.

Zmian w obsadzie broniła również reżyserka castingu, twierdząc, że zaważyły jedynie kwestie artystyczne. - Nie użyłam takich słów w rozmowie z panią Joanną, bo jako reżyserka obsady nie jestem wtajemniczana, kto wykłada pieniądze na film. Mogę za to z pełną odpowiedzialnością powiedzieć to, że wszystkie pomysły na zaproszenie aktorek biorących udział w zdjęciach próbnych, w tym Agnieszki Żulewskiej, wyszły ode mnie i nie były narzucane ani nawet sugerowane przez nikogo „z góry", nawet reżysera. Po zrealizowaniu wszystkich zdjęć próbnych na równych zasadach reżyser najbardziej uwierzył w interpretację Agnieszki, a ja go poparłam w decyzji, która podyktowana była względami czysto artystycznymi - powiedziała reżyserka castingu w rozmowie z Pudelkiem.

I to właśnie sugestie, że chodziło o sprawy czysto artystyczne, najbardziej zabolały Jabłczyńską. Aktorka wciąż utrzymuje, że w żadnym castingu nie brała udziału , a o swoim udziale w kontynuacji nieraz rozmawiała z Katarzyną Grocholą, która również jest współproducentką filmu. I faktycznie. W sieci wciąż można znaleźć rozmowę w studio Dzień Dobry TVN, która odbyła się w 2023 roku. Na kanapie w śniadaniówce gościły: Grochola, Stenka oraz Jabłczyńska. W pewnym momencie pada pytanie o kontynuację. To właśnie wtedy pisarka zwraca się do obu aktorek słowami: „dziewczyny, szykujcie się".

Jabłczyńska podkreślała, że czuje się podwójnie pokrzywdzona: nie tylko okłamana przez produkcję, ale też pozostawiona sama sobie z koniecznością tłumaczenia, dlaczego nie zagra w filmie. Jak wspominała, prosiła nawet Grocholę o wymyślenie jakiejś wspólnej wersji, którą mogłyby przekazać mediom. Pisarka miała jednak pozostać głucha na prośby aktorki.

Katarzyna Grochola straszy krokami prawnymi

Kwestią czasu było, kiedy w całej sprawie wypowie się sama Katarzyna Grochola. Sytuacja zrobiła się bardzo niesmaczna, gdyż skończyło się na straszeniu aktorki podjęciem kroków prawnych . W wielkim skrócie: Grochola wystosowała oświadczenie, w którym zapowiedziała, że cała sprawa może skończyć się w sądzie. Jabłczyńska (swoją drogą zawodowa radczyni prawna) nie wzięła jednak słów autorki „Nigdy w życiu!" na poważnie. Sugerowała nawet, że oświadczenie zaraz zniknie z internetu. Okazało się, że miała rację. Oświadczenie zostało usunięte i na profilu Grocholi na Instagramie nie ma po nim śladu. W odpowiedzi aktorka opublikowała prześmiewcze wideo, w którym „stawia kroki prawne".

Kiedy wydawało się, że afera zaczyna przycichać, do gry wkroczyła Dorota Szelągowska, prywatnie córka Katarzyny Grocholi oraz pierwowzór postaci Tosi. Telewizyjna projektantka wytoczyła najcięższe działa. Posunęła się nawet do stwierdzenia, w którym zasugerowała, że Jabłczyńska jest „złym człowiekiem". W niezwykle emocjonalnym filmie możemy usłyszeć, że Jabłczyńskiej fikcja zaczyna mylić się z rzeczywistością, a jeżeli ktokolwiek ma prawo utożsamiać się z postacią Tosi, to jest to ona sama, ponieważ bohaterka w dużej mierze została oparta właśnie na niej.

Szelągowska pouczyła aktorkę, że ta powinna być wdzięczna jej mamie, bo gdyby nie rola w filmie „Nigdy w życiu!", Jabłczyńska nie byłaby w ogóle znana. Córka pisarki wbiła też szpilę wszystkim fanom serii, którzy stanęli murem za pierwszą odtwórczynią roli Tosi. Szelągowska niezbyt elegancko odparła, że jeżeli komuś nie podoba się nowa obsada, zawsze może nie wybierać się do kina albo samemu zrobić film wedle uznania, a jedyną osobą, która ma prawo wpływać na obsadę, jest Katarzyna Grochola.

Agresywne w swojej wymowie wideo opublikowane na Instagramie spotkało się z chłodnym przyjęciem opinii publicznej. Na odpowiedź Jabłczyńskiej nie musieliśmy długo czekać. Aktorka poszła na całość i opublikowała wymianę wiadomości z Katarzyną Grocholą, w których pisarka zapewniała ją, że walczy o to, aby aktorka znalazła się w filmie .

Gdyby zwrotów akcji w tej całej aferze było mało, Szelągowska ostatecznie zdecydowała się przeprosić za swoje słowa Joannę Jabłczyńską. Celebrytka tłumaczyła się emocjami, w sieci nie brakuje jednak głosów, że w feralnym wideo... czytała z kartki. Aktorka jednak przyjęła przeprosiny córki Grocholi.

Na ten moment nie mamy odpowiedzi ani Katarzyny Grocholi, ani jej córki. Gdzieś w tle rozgrywa się też mały aktorski dramat Agnieszki Żulewskiej. Zrozpaczeni fani oryginalnej wersji „Nigdy w życiu!" siłą rzeczy przekierowali swoją wściekłość właśnie na Żulewską. Zareagować musiała sama Jabłczyńska, która publicznie przyznała, że jej celem nie było rozkręcenie hejtu na nową odtwórczynię roli Tosi. Żulewska postanowiła jednak pójść pod tzw. kłódkę i zamknęła swoje konto na Instagramie dla postronnych osób. Jak dotąd nie skomentowała też sprawy.

Sprawy nie skomentowała również Joanna Brodzik , która w pierwszym filmie wcielała się w postać Uli, najlepszej przyjaciółki Judyty. Jak się dowiadujemy, w scenariuszu zabrakło miejsca dla jej postaci. Brodzik trzyma się jednak z dala od medialnego szumu.

Brak części aktorów znanych z oryginału - ze zrozumiałych względów zabraknie również zmarłego niedawno Jana Frycza, sprawił, że w sieci zaczęto wzywać do bojkotu „Właśnie, że tak!". Ale czy do takowego dojdzie?

Faktem jest, że ogromny szum tylko napędza zainteresowanie filmem. Na pewno znajdą się też tacy widzowie, którzy choćby z ciekawości pójdą zobaczyć „nową Tosię".

Nie zmienia to faktu, że niesmak wokół osób związanych z produkcją na pewno pozostanie z nami na długo. Być może wkrótce jedna ze stron opublikuje coś, co zmieni o 180 stopni naszą perspektywę na tę najbardziej spektakularną awanturę ostatnich lat.

eprasa.pl 98fe2b04de

MOIM ZDANIEM

LESZEK WALIGÓRA
red. nacz. „Głosu Wielkopolskiego”



Gdzie polityk nie może, tam miliardera pośle

Żeby państwo zaczęło działać, wystarczy mieć majątek. Wiemy już jaki: od miliarda dolarów w górę. I nie, nie chodzi o to, że musisz kupić ministra, dostarczyć do hotelu drogi zegarek, a ciotce szwagra znanego posła załatwić posadę w radzie nadzorczej. Jak masz majątek, to minister rządu najjaśniejszej Rzeczpospolitej w twoim imieniu pójdzie nawet na wojnę z big techem. Pal licho, że wcześniej miał dziesiątki okazji do tego.

Rafał Brzoska, miliarder, szef i założyciel InPostu, w przeszłości bezkompromisowy doradca rządu do spraw deregulacji, wkurzył się na Facebooka. Trzeba dodać: Brzoska, bogaty przecież, jest biedny jak mysz kościelna w zderzeniu z tym potentatem branży social mediów. Majątek założyciela Facebooka, Marka Zuckerberga, wycenia się na ponad 200 miliardów dolarów, a jakby wycenić jego wpływ na życie, gospodarkę i na politykę, powinno być pewnie więcej. Ale Brzoska się wkurzył. Na Facebooku opublikował listę nazwisk polskiej ekipy zarządzającej w Polsce tym amerykańskim medium. A wszystko przez to, że Facebook nie umie sobie poradzić z reklamami oszustów, wykorzystujących bez zgody Brzoski wygenerowane komputerowo filmy z udziałem jego i jego małżonki. Zresztą: nie tylko jego, bo łatwo znaleźć na Fb reklamy z wykorzystaniem innych znanych twarzy. I o ile twarz prezydenta reklamującego zegarki może nie budzić podejrzeń, to twarz Roberta Lewandowskiego zachęcającego do inwestowania w papiery dłużne Bangladeszu czy premiera oferującego złote garnki z papieru – już powinna. Ale to my, szarzy użytkownicy social mediów mamy odróżnić oszustwo od prawdy. W naszej obronie rząd się nie wstawił. Za to w imieniu Rafała Brzoski wystosował wezwanie do Mety, właściciela Facebooka, a gdy odpowiedź okazała się niesatysfakcjonująca – zaczął domagać się kar. Od właściciela mediów zarabiających na oszukańczych reklamach. Wcześniej hulały takie reklamy latami.

Brawo. Ten sam rząd – podobnie jak rządy poprzednie, tu polityczna przynależność nie ma znaczenia – jest absolutnie, stuprocentowo, dziecinnie bezradny w obronie mediów bezlitośnie drenowanych przez big techy. Podczas gdy na świecie przyjmuje się rozwiązania mające chronić media i twórców okradanych z pieniędzy przez duże firmy internetowe, żerujące na cudzych treściach – w Polsce nic takiego się nie dzieje. Polski rząd nie spieszy się z wyrównywaniem strat, z pomocą w negocjacjach z big techami, a rozwiązania, jakie proponuje, mają spowodować, że big techy za pozyskane za darmo treści okradanych twórców zapłacą do... budżetu. Czyli taki trochę paser... A teraz idźmy dalej: czy pieniądze wrócą do twórców? A skąd! Rząd polski z budżetu finansuje już media publiczne. Te same media, zasilane z budżetu państwa, konkurują z mediami niezasilanymi na rynku reklamowym. Dziwne, prawda? Na świecie, gdzie media też mają problemy, aby na przykład ratować prasę drukowaną, rządy uruchamiają programy wsparcia. Rząd polski, kolejna dziecinada, uruchomił taki program tylko dla wybranych mikromediów. A implementacja unijnego aktu o wolności mediów wygląda w Polsce tak, że z projektowanej ustawy wykreślono zakaz prowadzenia mediów przez samorządy. Czyli mediów finansowanych z podatków, prowadzonych w myśl interesu politycznego. Taka niezależność.

Cudowna bezradność polskich polityków w obronie mediów, powiązana z radosnym zostawianiem przez nich milionów na promowanie swojej działalności w mediach należących do amerykańskich lub chińskich oligarchów (patrz Tik Tok). Czy ministrowie polskiego rządu są tak krótkowzroczni? A może wyrachowani? Czy w obliczu zagrożeń, o których grzmią, są doprawdy tak nierozgarnięci, że chronić zamierzają tylko miliarderów, media zależne od woli polityków i te, które zależą od woli innych miliarderów, zza wielkiej wody? W końcu: co się może nie udać?

LESZEK.WALIGORA@POLSKAPRESS.PL

MOIM ZDANIEM

AGATON KOZIŃSKI
z-ca red. nacz. „Polski”



Spójrzcie na Niemcy - i cieszcie się, że w Polsce mamy prawdziwą polityczną polaryzację

Warto zwrócić uwagę na niedzielne wybory w Niemczech - bo tylko pozornie chodzi w nich o wybór nowych władz Saksonii-Anhalt. Mówimy wprawdzie o jednym z mniej istotnych i słabo rozpoznawalnych landów niemieckich, ale sytuacja w nim może poważnie rzutować na politykę w całych Niemczech, a także w Europie. A przy okazji stać się ważnym sygnałem także dla Polski.

Po kolei. Według sondaży w landzie, w którym obecnie rządzi koalicja kierowana przez CDU/CSU (partia kanclerza Friedricha Merza) antysystemowa, prorosyjska partia AfD może liczyć na ponad 40 proc. głosów. Kolejna w sondażach CDU/CSU powinna się spodziewać wyniku o połowę gorszego. Wcale nie można wykluczyć sytuacji, w której AfD przejmie władzę. Więcej - będzie rządzić w tym kraju związkowym samodzielnie.

To byłoby trzęsienie ziemi. Do tej pory AfD było otaczane kordonem sanitarnym. Partie głównego nurtu zwyczajnie pomijały to ugrupowanie, zachowywały się jakby go nie było, czy to w Bundestagu, czy na poziomie parlamentów lokalnych. Saksonia-Anhalt to wyraźny sygnał, że ta strategia kompletnie się nie sprawdza. Sygnał pierwszy i na pewno nie ostatni, bo świetne sondaże AfD notuje także w innych landach oraz na poziomie ogólnoniemieckim. W kwietniu tego roku po raz pierwszy w historii wyprzedziła sondażowo CDU/CSU i wyraźnie prowadzi w tych wirtualnych porównaniach. Pod koniec sierpnia miała poparcie na poziomie 28 proc. Partia Merza zanotowała wynik 7 pkt proc. słabszy.

Jeśli swoją świetną passę prorosyjscy antysystemowcy przypieczętują przejęciem władzy w Saksonii-Anhalt, to można się spodziewać wszystkiego. Już nie wystarczą tradycyjnie używane do tej pory zaklęcia: że to populiści, że są silni tylko na terenie dawnego NRD, że to chwilowa moda. Tradycyjne niemieckie partie będą musiały zareagować dużo bardziej na serio niż do tej pory.

Wiele znaków wskazuje na to, że dojdzie do zmiany kanclerza. Jeśli AfD obejmie samodzielne rządy w Saksonii-Anhalt, jest to prawie pewne. A nawet jeśli tak się nie stanie, to i tak pozycja Merza pozostanie bardzo słaba. Jest kanclerzem ponad rok, ale trudno wskazać jakiś jego realny sukces. Dodatkowo cieszy się wyjątkowo niskim poparciem, aż 81 proc. Niemców uważa go za złego kanclerza. Trudno sobie wyobrazić, żeby był on jeszcze w stanie odwrócić swoją kartę. Już jest politycznie kulawą kaczką. Trudno zakładać, że na swoim stanowisku dotrwa do końca kadencji. W sumie trudno zakładać, by dotrwał na nim do końca roku. Nie trafił na swój czas.

Zmiana kanclerza w Niemczech oznacza głębokie zmiany polityczne w całej Europie - w końcu mówimy o najważniejszym kraju Unii Europejskiej. Ale nie chodzi tylko o personalia, również o trend. Niemcy stały się obecnie politycznym poligonem doświadczalnym dla wszystkich. Cała Europa starannie analizuje kolejne próby utemperowania AfD, zatrzymania jej wzrostów sondażowych. Za chwilę wszyscy będą się przyglądali temu, jak radzić sobie z AfD, które posiada władzę. To ważne lekcje - bo przecież antysystemowe partie rosną w siłę i idą po władzę także we Francji, Holandii, Hiszpanii, Portugalii. Europejski trend - dziś najbardziej widoczny w Niemczech.

Co ciekawe, Polski nie ma na tej liście. O ile w Europie Zachodniej tradycyjne partie idą pod wodę, nie będąc w stanie odzyskać kontaktu z wyborcami, o tyle u nas najważniejsze siły - PiS i Koalicja Obywatelska - ciągle utrzymują swoją witalność i zaufanie dużej części elektoratu. Dzieje się tak z wielu powodów. Fakt, że te dwie główne partie nigdy nie stworzyły ze sobą koalicji, jest jednym z ważniejszych. W Polsce mamy realny spór polityczny, odmienne wizje kraju - a Polacy w każdych wyborach mają świadomość, że rzeczywiście przy urnach mogą wskazać kierunek, w którym nasz kraj ma zmierzać. W innych państwach partie głównego nurtu tę wiarygodność w dużym stopniu z siebie wypłukały - i teraz muszą w sondażach oglądać plecy tak wyklinanych przez nich „populistów”.

Choćby z tego powodu warto docenić polską polaryzację. Od 21 lat rządzą nami na zmianę Donald Tusk i Jarosław Kaczyński - i ta stabilność wzmocniona ich realną rywalizacją to jeden z głównych powodów, który doprowadził postkomunistyczny, zacofany przez lata kraj nad Wisłą do G20. To efekt tego, że Polacy od dwóch dekad mają realny polityczny wybór. Niemcy długo go nie mieli. Dziś płacą za to, oddając władzę AfD.

AGATON.KOZIŃSKI@POLSKAPRESS.PL

Radosław Sikorski: Nie zgadzamy się na bezkarne testowanie naszych granic i wrogie działania na naszych terytoriach. Nie ma zgody na podpalenia, ataki na kolej, na kolejne morderstwa, prowokacje



FOT. PAP/EPA

eprasa.pl 98fe2b04de

ROMANS

Bo miłość nie zna granic

Walka z władzą, komplikacje i miłość. Historia Bogusia z Białorusi oraz Nairiki z Iranu to gotowy scenariusz na film. Od ślubu przez kamerkę po wyprowadzkę do Poznania. Dziś tu budują swoje życie

Chrystian Ufa

Był rok 2016. Bogdan Ustsinau (po prostu Boguś), młody Białorusin, trafia do Polski. Powoli układa sobie życie. Przełom nadchodzi jednak dwa lata później. Rozstanie z dziewczyną i utrata kontaktu z ojcem sprawiają, że chłopak zdaje sobie sprawę, że został sam jak palec.

Od samotności, przez ciekawość do Iranu

– Pewnego dnia znalazłem w internecie urywki informacji o terrorystach. Zacząłem interesować się wydarzeniami ze Stanów Zjednoczonych – World Trade Center. Pomyślałem: Co motywowało te osoby, żeby poświęcić swoje życie i odebrać je innym? – wspomina Boguś.

Dogłębny research zajął mu trzy miesiące. Książki, filmiki, artykuły. Zdarzył się mu nawet wyjazd do mniejszości żydowskiej w Krakowie. Stwierdził bowiem, że „zawsze blisko wszystkich aktów terrorystycznych był Izrael". Podróż pod Wawel mu jednak nie wystarczyła. Chwilę później znalazł się w samolocie do Izraela. Tam znalazł odpowiedzi na nurtujące go pytania. Przynajmniej tak mu się wydawało.

– We wrześniu 2019 roku napisał do mnie kolega z Białorusi i powiedział: „Słuchaj może pojedziemy do Portugalii". A ja mówię: „Misza, czy nie chcesz pojechać do Iranu?" Po prostu znikąd mi to przyszło do głowy. Poczułem, że muszę się tam znaleźć – opowiada Boguś.

Białorusin pożyczył koledze pieniądze, a Misza nie miał nic do stracenia. Właśnie takiego kompana do przygody potrzebował Boguś. Po zdobyciu wizy – co proste nie było w związku z protestami w Iranie i zestrzeleniem samolotu ukraińskiego nad Teheranem – i po locie do Gruzji czekała ich przeprawa autostopem przez Azerbejdżan aż po sam Iran. Podróż trwała dobę.

– Na miejscu prawie nikt nie mówił po angielsku. Słyszałem: „No Teheran". Mówię: „jak no Teheran?". Była już noc. Z kolegą wyglądaliśmy co najmniej nietypowo. On blondyn, a ja włosy pofarbowane na biało. Wyróżnialiśmy się. Jedna para zatrzymała się na drodze. Łamanym angielskim powiedzieli, że droga jest zablokowana przez śnieg. Iran i śnieg? My myśleliśmy przed wylotem, że będziemy chodzić w krótkich spodenkach. Para odjechała. Co teraz zrobimy? Całe szczęście ci sami ludzie wrócili po około pół godziny. Zapytali nas, czy nie chcemy u nich przenocować. Musieliśmy czmychnąć niepostrzeżenie do domu Shirin i Ali. W końcu tradycja i zwyczaje nie pozwalają na przyjmowanie totalnych nieznajomych.

Para oprócz wykarmienia kupiła podróżnikom karty SIM i bilet na autobus do stolicy Iranu – Teheranu. Na aplikacji do couchsurfingu (oferowania i poszukiwania miejsc na nocleg) Boguś i Misza otrzymali setki propozycji . Wybór padł na Milada.

Gdy ten pracował pewnego dnia przybyszami zajęła się Nairika.

To artystka. Wówczas studiowała w Iranie. Oprócz fotografii zajmuje się malowaniem. W wieku zaledwie 12 lat straciła ojca. Zostały we dwie z mamą. Nie powstrzymało jej to jednak od przeciwstawianiu się władzy i zaangażowania w strajki kobiet w Iranie. Bojowy charakter to kolejna rzecz, która połączyła ją z Bogusiem. On uczestniczył w strajkach przeciwko reżimowi Łukaszenki.

– Byłem wówczas w pracy, a że pracuję w teatrze i był to czas karnawałowy, więc byłem przebrany za świerszcza. Tak obserwowałem transmisję online z własnego ślubu – wyznaje Boguś

– Wylądowałem w więzieniu wraz z przyjaciółmi. Zrobiliśmy akcję, gdzie po prostu usiedliśmy na placu i karmiliśmy gołębie. By zatrzymać naszą piątkę, przyjechało dwunastu policjantów. Powód? Reżim zdecydował, że nie można się zbierać w grupach więcej niż dwuosobowych. Miało to związek z wyborami w kraju – opowiada Boguś.

Jego przyjaciele zostali w więzieniu na dwie doby, po czym dostali ogromne kary. Chłopak miał więcej szczęścia. Szybko go wypuszczono, gdy policjanci zobaczyli dokumenty, kartę pobytu i dowiedzieli się, że Boguś studiuje w Polsce. Następnym razem na ulicę Białorusin wyszedł wraz ze swoimi krajanami po wyborach.

– Latały granaty, strzelały kule. Byłem dwa dni w Mińsku na tak zwanej wojnie. To były protesty pokojowe. Wiadomo, że nikt nie policzył naszych głosów. Wszyscy widzieli, że Cichanouska wygrała, a Łukaszenko przegrał. Mam w pamięci jak naprzeciwko pokojowego protestu stanęli policjanci uzbrojeni we wszystko, co się da. Ludzie nie wytrzymali zaczęli wyrywać deski z ławek, by się bić. Chcieliśmy zatrzymać tę agresję, jednak było za późno. Niedaleko mnie zabito człowieka. Później dowiedziałem się, że z moim ojcem nie ma kontaktu. On poszedł pomóc protestującym, rozwożąc leki. Agresja się we mnie paliła, przez co byłem bardzo nieuważny. Poszliśmy ze znajomymi do centrum miasta, przyjechały auta, wyskoczyli policjanci. Zacząłem uciekać w złą stronę i napotkałem mur. Najgorsze nie było to, że trafiłem do więzienia, ale to, że biła mnie grupa dwudziestu policjantów. Później byłem bity i czołgany po podłodze w ich busie. Po wszystkim wypuszczono mnie na wolność. Mojego ojca również – wspomina Boguś.

Muzułmanin w stroju świerszcza

Wspólne zwiedzanie miasta nie od razu przerodziło się w zauroczenie. Najpierw była przyjaźń.

– Było mi smutno, gdy z powodu pandemii Covid-19 musieli wyjechać po dwóch tygodniach Myślałam, że już nigdy nie zobaczę Miszy i Bogusia – mówi Nairika Zarandaz.

Narika i Boguś spotkali się dopiero po upływie dwóch lat. W trakcie rozłąki przyszła para pisała nocami na Instagramie.

Tym razem Białorusin nie przyjechał z pustymi rękoma. Przywiózł Nairice jej portret, który namalowała mama Bogusia.

– Był piękny, a ja przeszczęśliwa. Wówczas zaczęliśmy spędzać wspólnie więcej czasu i pojawiły się uczucia. Te zmieniły się w relację, jednak dosłownie chwilę później wybuchła wojna na Ukrainie. Bogdan był zmartwiony, ponieważ ma tam wielu przyjaciół. Postanowił wyjechać z Iranu – tłumaczy Nairika.

Białorusin wrócił do Polski, z której często wylatywał na spotkanie z ukochaną Nairiką. Zafascynowany Iranem napisał pracę magisterską o Santurze (tradycyjny perski instrument) i studiował arabistykę. Największy krok uczynił, jednak gdy zdecydował, że chce sprowadzić Nairikę do Polski. Wymagało to ślubu i zmiany wiary.

– Wzięcie ślubu to był ryzykowny krok. Skok na głęboką wodę. Nikt nie wiedział, czy ślub jakkolwiek nam posłuży, a do tego było to bardzo skomplikowane. W Poznaniu musiałem zrobić testy na obecność



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Jednym z ulubionych miejsc pary są zielone ogródki im. Zbigniewa Zakrzewskiego. Właśnie w tym miejscu zrobiliśmy im zdjęcie

eprasa.pl 98fe2b04de

narkotyków we krwi i inne różne dziwne rzeczy. W międzyczasie pojechałem do Warszawy, spotkałem się z imamem i przeszedłem na islam. Następnie zebrałem dokumenty i przetłumaczone zawiozłem do Iranu – wspomina Boguś.

Tam na miejscu czekała go rządowa kontrola. Niecodziennie bowiem mężczyzna z zagranicy chce poślubić Irankę. Białorusin po powrocie do Polski dowiedział się, że jest zielone światło na ślub. Para zdecydowała się, by zrobić to online, gdyż dzieliło ich 4 tysiące kilometrów.

– Ciężko to opisać. Byłem wówczas w pracy, a że pracuję w teatrze i był to czas karnawałowy, to byłem przebrany za świerszcza. W tym przebraniu obserwowałem transmisję online z własnego ślubu – wyznaje Boguś.

– Chciałabym być razem w tym momencie. Niestety, było to niemożliwe. Czułam, że czegoś brakuje. Przestrzeń była pusta. Tą pustką była nieobecność Bogdana. Myślałam wówczas, że teraz w tej sukni bardzo chciałabym go zobaczyć. Połączyliśmy się na telefon. Bogdan był bardzo emocjonalny – opowiada Nairika. – Wszystkie formalności zajęły rok. To była bardzo wyboista droga.

– Nie mieliśmy innego wyboru. Z Nairiką wiedzieliśmy, do czego dążymy. Ślub był krokiem do sprowadzenia jej do Polski – dodaje Białorusin.

Zaślubiny nie dały jednak pewności, a dokumenty przez błąd w systemie nie dotarły do ambasady. Boguś musiał osobiście napisać do pani konsul. Wówczas doszło do ataku Izraela na Iran i cała ambasada została ewakuowana. Para przez moment została z niczym, jednak szybki zwrot akcji i przyklepanie dokumentów sprawiły, że wciąż intensywnie tliła się nadzieja.

– Pojechałem z dokumentami do urzędu ds. cudzoziemców w Pile. Pani z urzędu stwierdziła, że na moim miejscu nie liczyłaby na to, że dostanę zaproszenie do Polski dla Nairiki. Nie poddałem się. Zacząłem pisać do wszystkich urzędów, gdzie tylko mogłem dotrzeć. Po miesiącu od tej rozmowy dostałem wiadomość, że zaproszenie jest do odbioru – relacjonuje Boguś. – Od razu kupiłem bilet do Iranu i powiedziałem Nairice: szykuj się, bo jesteśmy tak blisko jak nigdy wcześniej. Nadal było jednak napięcie, niepewność i stres.

– Pamiętam pierwszy dzień, gdy obudziłam się w Poznaniu. Nagle zaczęłam płakać. Nie wiem dlaczego. Myślałam sobie: „gdzie ja jestem?”. To była wielka zmiana – wspomina Nairika

Ostatnim elementem układanki była wiza. Pierwsza próba: odmowa. Powód? Odległość głowy Nairiki od krawędzi zdjęcia wynosiła pięć milimetrów, a nie trzy. Druga próba: odmowa. Powód? Pani konsul nie uwierzyła w intencje pary. Nairika zbladła. Bogdan się wściekł. W trakcie wielogodzinnej podróży wysmarował dwudziestosiedmiostronicowy list, którego celem było przekonanie pani konsul. W załącznikach były: zdjęcia i wspólne podróże pary. Udało się. W końcu przyszedł ten upragniony moment. Nairika wylądowała w Polsce.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Irańsko-białoruska para ma już za sobą wspólne święta Bożego Narodzenia oraz Wielkanoc w Polsce

Nowe życie, nowy świat, nowe marzenia

– Pamiętam pierwszy dzień, gdy obudziłam się w Poznaniu. Nagle zaczęłam płakać. Nie wiem, dlaczego. Myślałam sobie: „gdzie ja jestem?”. To była wielka zmiana. Po drodze wydarzyło się wiele wspaniałych rzeczy i poznałam świetnych ludzi. Wiem, że nie jestem sama. Jednak naprawdę tęsknie za domem i rodziną – wyznaje Nairika.

Po czterech latach relacji Boguś i Nairika w końcu byli w tym samym miejscu i w tym samym czasie. Nowe życie, świat i marzenia.

– Zaaplikowałam o rezydencję w Polsce. Wiem, że może to trochę zająć, jednak dopóki nie otrzymam dokumentów – nie mogę pracować. Ostateczny termin wydania decyzji to luty 2027. Do tego czasu nie mogę opuszczać kraju, choć w związku z całą sytuacją wojenną w rodzinnym Iranie chciałabym móc tam pojechać. Gdybym miała pozwolenie, to od razu wsiadłabym w samolot – mówi dziewczyna. – Przez ponad miesiąc nie miałam kompletnie kontaktu ze swoją mamą. W Iranie odcięto internet. Trwały bombardowania Teheranu i wiedziałam, że musi być przerażona. Domyślałam się, że jest bezpieczna, ale nie miałam stuprocentowej pewności. Gdy w końcu rozmawiałyśmy, czułam, że jest wystraszona i bezsilna. Oprócz sytuacji wojennej po prostu za mną tęskni. Moim obecnie największym marzeniem i celem jest to, by sprowadzić ją do Polski. Zasługuje na to. To bardzo ciężko pracująca i kochana kobieta. Ma prawo, by czuć się bezpiecznie.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Boguś i Nairika przez 4 lata byli w relacji na odległość. Regularnie spotykali się ze sobą. Na zdjęciu pobyt w stolicy Gruzji – Tbilisi

Historia Nairiki i Bogusia pokazuje jednak, że wszystko w życiu jak i w miłości dzieje się krok po kroku. W oczekiwaniu na dokumenty pobytu rezydenta para układa swoje życie w Poznaniu. Jednym z ich ulubionych miejsc są zielone ogródki im. Zbigniewa Zakrzewskiego. To właśnie tu Nairika siada, by w spokoju tworzyć i rozmyślać nad swoimi przyszłymi pracami artystycznymi. Kompletnie inne otoczenie niż w głośnym Teheranie, gdzie Iranka zbytnio nie wychylała nosa poza mieszkanie. Właśnie w tych zielonych ogródkach zrobiliśmy im zdjęcia. Fotografie, które nie do końca są w stanie oddać walki, łez i wysiłku, które para podjęła, by znaleźć się wspólnie na poznańskim Starym Mieście.

eprasa.pl 98fe2b04de

PASJA

Roman Ficek. Cyborg ze Skawicy

– Te wcześniejsze moje wyprawy to była naprawdę pestka – mówi biegacz górski ze Skawicy Roman Ficek. Właśnie przebiegł Półwysep Skandynawski z północy na południe, górami z Przylądka Północnego do Lindesness. Jako pierwszy człowiek w historii pokonał ten nieprawdopodobny dystans – 2679,4 km w 40 dni i 11 godzin! Bez żadnego wsparcia, zdany tylko na siebie. Niósł plecak ważący dziewięć kilogramów i nie bał się emocji



FOT. ROMAN FICEK

Roman Ficek: To był pierwszy w historii taki bieg przez te góry. Nikt się tego przede mną nie podjął

Jacek Żukowski

Jest pan już w domu. Co pan teraz robi?

Najważniejsze to nie biegać, nie trenować, tylko trochę poleżeć, odpoczywać, żeby nogi, ścięgna, mięśnie doszły do siebie.

Ile trzeba do siebie dochodzić po takim wysiłku?

Myślę że dwa i pół tygodnia. W tym czasie mam zamiar czilować. A potem jakiś trening na pewno wejdzie, ale bardzo lekki, może pół godziny dziennie. Nie ma co siedzieć za długo. Krótki trening przyspieszy regenerację. Po miesiącu powinienem czuć się całkiem nieźle.

Przebiegł pan 2679 kilometrów.

Prawie 2700 i 70 tysięcy metrów przewyższenia.

W 40 dni. Czy na tyle szacował pan ten bieg?

Szacowałem trasę na 35 dni. Myślałem, że kilometrów będzie 3000. Trzeba zacząć od tego, że przez Skandynawię nie ma jednego szlaku, jest ich wiele i trzeba je łączyć. Trasa wiodła przez najwyższe szczyty parków narodowych i poszczególnych masywów górskich. Była bardzo trudna, prowadzona na dziko, musiałem z tej wersji po trzech dniach zrezygnować i modyfikować trasę na bieżąco.

Jeśli chodzi o rekord, to trudno będzie komuś porównywać swój bieg z pańskim, bo musiałby idealnie biec pańską trasą

Tak, to jest nieporównywalne. To to samo jak z Łukiem Karpat, gdzie też nie ma początku i końca. To znaczy są – Lindesness i Nordkapp, ale nie połączone jednym szlakiem. To był pierwszy w historii taki bieg przez te góry. Nikt się tego przede mną nie podjął. Siedem lat temu, po przebiegnięciu Łuku Karpat chciałem zrobić Skandynawię, wiedząc, że jest to najdłuższy łańcuch górski w Europie. Nie miałem jednak zdrowia, zawsze z czymś to kolidowało, nie było formy, sponsorów.

Biegł pan bez wsparcia, czyli musiał pan ograniczyć swój bagaż.

Był bardzo lekki, ważył między 7 a 9 kg, ale cały czas niosłem go na plecach. W tamtych górach niemal wszyscy chodzą z ciężkimi plecakami. Kiedy ludzie mnie widzieli byli w szoku.

Był pan bez namiotu, śpiwora, jak pan sobie radził z nocowaniem?

Nocowałem w chatkach DNT, nazywają się hytter. Kupuje się w Norweskim Stowarzyszeniu Turystycznym specjalny kluczyk, który otwiera je wszystkie. Dostałem go od Ewy Chwałko, która przeszła całą Skandynawię trzy lata temu.

Jaki jest standard tych chatek?

Są jak domy. Bardzo wypasione. Niektóre piękne, nowe, z kuchnią, w której jest gaz. Są też w nich wielkie spiżarnie, gdzie można sobie kupić jedzenie i zapłacić przez aplikację. Może w nich spać od pięciu do 40 osób.

Kluczyk otwiera jedno pomieszczenie?

Nie, cały domek. Często byłem jednak sam.

Musiał pan swoją trasę dostosować do tych miejsc?.

Trochę tak, ale one są na trasie. Są na czerwonym szlaku oznaczone litrą „t". Jak planowałem bieg, to wiedziałem, gdzie są hytty albo kempingi, bo na nich też spałem. Czasem brałem nocleg w hotelu ze śniadaniem, żeby się najeść porządnie. Jak śniadanie się zaczynało o 7.30 czy 8, to jadłem aż do 10, dopóki się nie skończyło. Napychałem się.

W ciągu dnia pewnie nie było na to czasu.

Nawet nie było gdzie. Dopiero na południu Norwegii pojawiały się stacje benzynowe, restauracje po drodze.

Jak pan radził sobie z jedzeniem?

Miałem tylko cztery sklepy na tysiąc kilometrów. Musiałem obliczyć, by od punktu do punktu wystarczyło mi jedzenia. Pierwszy sklep miałem chyba po trzech dniach. Kiedy dobiegłem na wieczór do miejscowości, to był zamknięty i niestety dopiero rano musiałem wrócić, zrobić zapasy, i z powrotem biec.

Ale na 250 km to trudno nakupić jedzenia...

Trudno, ale da się. Cały czas też biegłem na deficycie kalorycznym. Kupowałem słodycze, jakieś żelki, czekoladę, miód sobie kupowałem też zawsze i dużo owsianki. Dlatego, że zalewać ją można zimną lub ciepłą wodą.

Ile dziennie kilometrów pan przebiegał?

Różnie, w pierwszy i drugi dzień po 90, bywało, że i 120, ale też 60. Średnia z całego dystansu wyszła mi 71.

Czy pana coś zaskoczyło? Na przykład myślał pan, że będzie łatwiej, a było trudniej, bądź odwrotnie?

Zaskoczyła mnie trochę trasa. Myślałem, że będzie łatwiejsza, a okazała się cholernie trudna. Bardzo wąskie ścieżki albo w ogóle brak ścieżek, szlaków. Szlak niby na mapie jest, a w rzeczywistości go nie ma. Ciężko było biegać po tych szlakach mając ze sobą taki ciężki plecak. Było pełno kamieni, także pełno torfowisk i bagien.

Czy były trudniejsze momenty kryzysowe, kiedy myślał pan, że trzeba będzie skończyć?

W pierwszym tygodniu codziennie parę razy myślałem, kiedy zejdę i na którym odcinku, bo było bardzo ciężko. Miałem nawałnicę różnych wszelakich problemów, które mnie mogły dopaść. Brakowało tylko deszczu.

eprasa.pl 98fe2b04de

Głównie terenowe trudności, jedzeniowe?

Wszystkie. Ze spaniem, z jedzeniem; na początku była też masa komarów, które nie dały nawet na chwilę odpocząć. Musiałem być non stop w ruchu. Więc niewyspanie, trudność terenowe i do tego ten deficyt kaloryczny. Wszystko się nakładało. Pamiętam taki bardzo trudny odcinek kamienisty, w dodatku porywy wiatru do 60 km/h. A noc wcześniej przed tym odcinkiem spałem na gołych deskach, bo nie było materaca. To był mocny „strzał" i po tym dniu zrobiłem sobie dzień przerwy, bo nie byłem w stanie się ruszyć. Miałem odciski na stopach, potrzaskane paznokcie i dość wszystkiego.

Ale przewalczył pan to na szczęście.

No przewalczyłem. Udało się. To było tak, że wieczorem byłem bardzo, bardzo zmęczony, skasowany. A rano jak już człowiek się trochę wyspał, zjadł, to nabierał energii.

A co pana trzymało przy życiu? Rozmowy z żoną, rodziną?

Tak. Rozmowy przede wszystkim. Jak nie z żoną, to z rodziną, kolegami. Czytałem komentarze na swoich social mediach. To ludzie mnie pchali. Ja tak naprawdę w pewnym momencie już byłem tak zrezygnowany, wręcz zrozpaczony, ale ludzie tak wierzyli we mnie jak w Boga. Że tylko ja to mogę zrobić, tylko ja dam temu radę, że wierzą we mnie. Czułem, że nie mogę zrezygnować. Przynajmniej muszę spróbować w kolejny dzień.

A według czego się pan poruszał? Jakiejś aplikacji?

Dokładnie tak, wytyczyłem trasę, wszystko zaplanowałem, a potem na drugiej aplikacji ją modyfikowałem na bieżąco. Moja oryginalna trasa odbiegała całkowicie od trasy, którą robią inni, czyli Norge Pa Langs. Myślałem, że uda mi się to wykonać, ale już po trzech dniach wiedziałem, że niestety trzeba to zmodyfikować.

Na jaką pogodę pan trafił?

Praktycznie codziennie było niebo zachmurzone. Tylko na Przylądku Północnym miałem czyste niebo i w ostatni dzień również. W jeden dzień potrafiło lać, świeciło słońce, wiał wiatr, a potem znów lało. Czasem deszcz padał dziesięć minut i znowu na chwilę wychodziło słońce. Były to cztery pory roku. Miałem też takie dni, że lało cały dzień i do tego był północny wiatr, który cały czas wiał ci w twarz. Okropne. Wiatr naprawdę dokuczał strasznie.

Ale był północny, a pan biegł z północy na południe więc raczej powinien popychać?

Niestety nie. On cały czas właśnie jakoś w twarz wiał... To był zimny wiatr północny. Jak biegnie się górami, to nie biegnie się cały czas



FOT. ROMAN FICEK

Roman: W pewnym momencie już byłem tak zrezygnowany, wręcz zrozpaczony, ale ludzie tak wierzyli we mnie jak po prostu w Boga

na południe prosto, tylko zakręca dolinami w prawo, w lewo.

Porównując to osiągnięcie do innych pańskich wyczynów, jak je pan plasuje w hierarchii?

Te wcześniejsze moje wyprawy to była naprawdę pestka.

Naprawdę?

No tak. Łuk Karpat był trudny, długi, ale Skandynawia trudniejsza trzykrotnie. Podobna liczba dni, ale surowszy klimat, bieg bez wsparcia, a Karpaty były ze wsparciem. To diametralnie zmienia rzeczywistość. Trudność była potężna, bo musiałem sobie sam załatwiać spanie, jedzenie i mieć niestety ten ciężki plecak na sobie, który uprzykrzał bieg.

Miał pan niebezpieczne przygody?

Takich zagrażających życiu nie. Ale były momentu, kiedy była zła pogoda i po północy w tej tundrze robiło mi się nieswojo. Różne myśli przychodziły mi do głowy. Byłem zmęczony i wtedy wysyłałem jakieś tam wiadomości głosowe do rodziny.

A nie można było przerwać biegu, bo trzeba było dobiec do pewnego punktu.

Tak. Nie miałem śpiwora, namiotu, musiałem biec od punktu do punktu, bo tak miałem zaplanowane.

Najważniejsze jest zdrowie. Chyba dopisuje, bo gdyby miał pan problemy, to by się nie dało tego przebiec.

Zdrowie jest najważniejsze. Udało się uniknąć kontuzji, która mogłaby uziemić mnie całkowicie. Oczywiście miałem po drodze urazy, jakieś naciągnięcia, przeciążenia, ale to nie było na tyle poważne, żeby mnie unieruchomiło. Kulałem przez parę dni i samo przeszło.

Oprócz tych obiektywnych trudności terenowych i jedzeniowych była możliwość, żeby chociaż troszeczkę nacieszyć się przyrodą, krajobrazem, bo Norwegia to piękny kraj, czy po prostu podczas takiego ekstremum człowiek na to nie zwraca uwagi?

Norwegia jest piękna, ale ja biegłem cały czas środkiem kraju. Tam jest tundra, krajobraz mało kiedy się zmienia. Nordkapp był wyjątkowy, a potem taka trochę monotonia w tych górach. No, gdzieś tam w Szwecji trochę inny krajobraz, Finlandia w zasadzie była podobna.

O fiordy to pan nie zahaczał.

No właśnie nie, bo one są całkowicie na zachodzie i musiałbym łuki robić. Takich niektórych miejsc naprawdę pięknych to nie widziałem, Norwegia jest ładna, o ile się przez nią nie biegnie na rekord. Bo jeżeli się bije rekord, to niestety więcej jest cierpienia niż przyjemności.

To wróci pan kiedyś do Norwegii? Już tak normalnie, bez ekstremalnych wysiłków?

Myślę, że tak. Chciałbym z rodziną przyjechać i w tych domkach tak na spokojnie posiedzieć. Otworzyć domek, zapalić w piecu, posiedzieć sobie dwa dni nad jakimś pięknym jeziorem w górach, nad rzeką. Przejść znowu dwadzieścia kilometrów na kolejny dzień, czy tam za trzy dni do jakiegoś kolejnego domku. Mieć taki wypoczynek i ciszę. To jest tam naprawdę wyjątkowe i oryginalne w tych górach.

A spotykał pan jakichś właśnie biegaczy, czy też innych sportowców.

Nikogo. Nikt tam nie biega, nikt tam nie robi takich rzeczy. Sami turyści, głównie starsi. Bardzo mało było ludzi. Ludzie byli w szoku, że tam biegnę i do tego tak ubrany.

Miał pan jakieś wsparcie od nich?

Pewnie, że tak. Wspierali mnie i trzymali kciuki. Tam nie ma turystów z przypadku. Widać, że przychodzą zaprawieni.

W jednych butach pan to obleciał?

W dwóch parach butów i dwóch parach skarpetek.

Łuk Karpat chociaż nie ma na nim szlaku, to jest mniej więcej powtarzalny, ktoś może próbować go przejść, nie mówiąc już o Głównym Szlaku Beskidzkim czy innych wyczynach w Tatrach. A Skandynawia jest tak naprawdę unikatowa. Jak porównywać pana osiągnięcie do innych ewentualnych następców.

Jest to rekord przebiegnięcia całej Skandynawii. Mogę go zgłosić do FKT (Fastest Know Time) – na tej stronie internetowej rejestruje się najszybsze znane czasy przejścia różnych tras. Ale czy to będę robił, to jeszcze zobaczę. Nie wiem, czy mi to potrzebne do szczęścia. Zrobiłem swoją robotę.

Tak naprawdę zrobił pan to dla siebie?

Tak. Zrobiłem to dla siebie. Dla rekordu, bo to też jakieś marzenie moje było. Ale myślę, że w pewnym momencie też robiłem to dla ludzi.

Jak pan zaczynał swoją przygodę z górami, miał pan kilku sponsorów, ale nie było to tak rozwinięte jak teraz. Czy pan w tym momencie może się tylko skupić na swoich projektach i to jest pana życie zawodowe?

Tak. W zasadzie już od paru lat żyję zawodowo z tego. No teraz mam i sponsorów, też trenuję ludzi, robię swoje obozy. Wszystko się kręci wokół biegania. Jestem organizatorem Zawojskiego Festiwalu Biegowego.

Teraz pan odpocznie, ale jak pana znam, to nie usiedzi pan spokojnie zbyt długo.

Chcę się skupić na prestiżowych zawodach w Polsce i na świecie. Pobiegać, pościgać się. Jakiś tam projekt mam już w głowie. Zresztą od dawna mam, ale na razie zachowam go dla siebie, a zrealizuję może za dwa, trzy lata.

A jakie zawody czekają pana w najbliższym czasie?

Chciałbym wystartować w jakichś prestiżowych zawodach – UTMB Mont Blanc na przykład. Ale w przyszłym roku. W tym pewnie gdzieś w listopadzie, jak dojdę do siebie.

eprasa.pl 98fe2b04de

PASJE

Słyszą „ciuchcię” i od razu mają wypieki na twarzy. Ten ich pociąg do kolei!

Łączy ich stukot kół, magia stalowych szlaków, czar silnych lokomotyw i klimat gwizdu syren. Gdy zwykły laik usłyszy z ich ust „Dragon”, „Gagarin” czy „Byk”, zgubi się już na pierwszym zakręcie. Kolej łączy fanów, załogi konduktorskie, pasażerów i różne pokolenia. Wsiadłam do wagonu z fanami kolei

Agnieszka Domka-Rybka

Na taborowe show z okazji 175 lat kolei w Bydgoszczy przyszły tłumy. Dworzec główny PKP opanowali fani pociągów - od dzieci po seniorów. Bo to pasja, która nie ma ograniczeń wiekowych.

Przypadkiem podsłuchałam rozmowę dwóch nastolatków. Zwrócili moją uwagę, ponieważ jeden z nich włożył konduktorską czapkę. Chłopcy byli w wieku nie więcej niż 13 lat.

EU07, ET22, ST44. O co tutaj chodzi?

- Widziałeś, co dziś ciągnęło towarowy?

- „Dragon”. E6ACT. Ładny skład, ale ja mam słabość do starego „Gagarina”.

- ST44? No jasne, Zupełnie inna charakterystyka. Ten dźwięk silnika słychać z daleka.

- I właśnie za to kocham stare lokomotywy. Dziś patrzysz na numer i już wiesz, co jedzie. EU07, ET22, „Dragon”. Każda ma swój charakter.

- A ET22 to już klasyka. „Byk” potrafił pociągnąć naprawdę ciężki skład.

- Tylko spróbuj powiedzieć komuś, że rozpoznasz lokomotywę po dźwięku silnika...

- Popatrzy jak na wariata (śmiech).

Taka pogawędka dla zwykłego śmiertelnika brzmi jak rozmowa w obcym języku, czarna magia! Laik słucha i zachodzi w głowę, o co w ogóle chodzi. Sprawdzam więc dokładnie liczby, nazwy i o jakich maszynach mowa.

I tak: „Dragon” (w nowszej odsłonie jako „Dragon 2”) to nowoczesna, sześcioosiowa elektryczna lokomotywa towarowa polskiej produkcji (Newag). Została zaprojektowana z myślą o prowadzeniu bardzo ciężkich składów, takich o masie do 3200-4500 ton. Z kolei „Byk” (ET22) to jedna z naszych najbardziej charakterystycznych lokomotyw, prawdziwy siłacz na kolejowych torach, stąd przydomek „Byk”. Ciągnie bardzo długie składy towarowe. Zaś „Gagarin” (ST44) to maszyna spalinowa. Ma potężną sylwetkę, donośny dźwięk silnika, co sprawiło, że stała się jedną z najbardziej rozpoznawalnych lokomotyw wśród miłośników kolei.

Dla jednych kolej to tylko pociąg, rozkład jazdy i kilka minut oczekiwania na peronie. A dla pasjonatów - cały świat. Znają lokomotywy po numerach, potrafią godzinami rozmawiać o trasach. Pamiętają dźwięk dawnych składów i z wypiekami na twarzy wypatrują na torach nowych maszyn.

To nie jest zwykłe hobby, a sposób na życie, podróż w czasie i niezwykła społeczność ludzi, których łączy... stukot kół.

Co takiego jest w kolei, że gromadzi wokół siebie tylu pasjonatów? - zapytałam Adama Charifa, prezesa Fundacji Instytut Edukacyjny Kolej na Ciebie, organizatora jubileuszowej wystawy taboru z okazji 175 lat kolei w Bydgoszczy (22 sierpnia br.). Fundacja na co dzień integruje miłośników taboru, organizuje wydarzenia branżowe, czyli przybliża kolej ludziom.

- Młodzi i starsi miłośnicy kolei przekazują tę pasję z pokolenia na pokolenie - opowiada Adam Charif. - Dziadek był kolejarzem, mama nastawniczą i syn nie wyobraża sobie, żeby pracować gdzie indziej. Jest w tym jakaś magia, magia stalowych szlaków, magia silnych lokomotyw, gwizdu syreny. To coś, co porywa i działa na emocje. Wsiadasz i emocje jadą razem z tobą. W Bydgoszczy już tak od 175 lat, gdy dotarł tutaj pierwszy pociąg. Miasto od lat jest związane z koleją, to nie tylko ważny węzeł na mapie kraju i naszego regionu, ale także istotny ośrodek przemysłowy. W Pesie powstają lokomotywy i wagony, które jeżdżą w całej Polsce i nie tylko.

Znany youtuber chce testować nasz hit sezonu

Do Bydgoszczy chętnie wpadli również znani miłośnikom taboru influencerzy, jak m.in. Paweł, twórca popularnego kanału na YouTube 850kN, zawodowo maszynista z 14-letnim stażem na pociągach towarowych.

- Pokazuję wam, jak wygląda moja praca od środka - mówił na spotkaniu z fanami. - U nas tak już jest, że jak się nic nie dzieje, to nic się nie dzieje, a jak coś się dzieje, to... jedno za drugim i w tym samym czasie. Miałem np. taką sytuację, że na jednej służbie mój pociąg zabił, niestety, trzy gołębie. A to było dokładnie tyle samo, ile przez poprzednie 13 lat. Taka przypadłość kolejarza.

Na pytanie, przy jakiej pogodzie najgorzej prowadzi się pociąg, stwierdził, że jak jest mżawka: - Inaczej w przypadku pociągów pasażerskich i towarowych, różnica jest potężna. W pierwszym najgorsze są na pewno mgła i śnieg, bo utrudniają hamowanie pociągu. To lekkie pociągi i łatwo wpadają w poślizg przy hamowaniu. Natomiast w moim przypadku, czyli prowadzenia ciężkiego pociągu towarowego, najgorsza jest mżawka. Są wtedy problemy z podjazdem, z rozruchem maszyny. Nawet śnieg nie przeszkadza tak bardzo jak mżawka.

Na dworcu PKP w Bydgoszczy spotkaliśmy też bijącego rekordy popularności Kolejowego Mikosa (Mikołaj Stefanowski). Prowadzi kanał na YouTube, gdzie pokazuje podróże pociągami, długie trasy, testy połączeń oraz ciekawostki z polskiej infrastruktury kolejowej.

Tak wspominał swoją najdłuższą, jednorazową podróż pociągiem: - To była wyprawa pociągiem na trasie Warszawa - Chorwacja. Najpierw musiałem ze swojego Olsztyna dojechać do stolicy, tam przesiadka na Warszawie Wschodniej do pociągu do Chorwacji. Wysiadłem w słoweńskim Koprze i stamtąd pojechałem do Budapesztu sezonowym pociągiem Retro Istria Express. Zajęło mi to wiele godzin.

Kolejowy Mikos obiecał, że w przyszłym roku przetestuje nasz kujawsko-pomorski sezonowy hit, czyli pociąg „Rybitwa” z Torunia do Kołobrzegu.

Jazda pod wpływem i bez biletu. Oni tego nie znoszą!

Kolej łączy nie tylko fanów, ale także pasażerów i pracowników.

- Pasażerów zapewniam, że pociągi to bardzo bezpieczne pojazdy, porównując je z innymi środkami transportu. Jeśli zdarzają się wypadki, to najczęściej z winy kierowców samochodów lub pieszych - podkreśla prezes Fundacji Instytut Edukacyjny Kolej na Ciebie.

Czy praca na kolei jest równie bezpieczna jak jazda pociągiem?

Charif tłumaczy, że co jakiś czas dochodzi do pobić i innych aktów agresji w stosunku do pracowników. - Najczęściej zdarza się to w trakcie kontroli biletów. Niektórzy pasażerowie próbują wyłudzić kolejne darmowe przejazdy. Mają nieopłacone mandaty lub są pod wpływem alkoholu i silnie pobudzeni. Kobiety, na szczęście, pracują w załogach mieszanych z mężczyznami i zawsze mogą liczyć na ich pomoc. Drużyny są wieloosobowe. Pracownik, który zaobserwuje coś niepokojącego, prosi o wsparcie kierownika pociągu. To on odpowiada za pomoc w sytuacjach awaryjnych.

Podróżni wylewają na kolejarzy również swoje niezadowolenie, np. za spóźniony pociąg czy niedziałającą klimatyzację. Ci ludzie pracują wtedy w dużych emocjach. Mówią, że do dantejskich scen dochodzi, gdy m.in. pociąg stanie awaryjnie w szczerym polu na kilka godzin...

Warto wiedzieć, że pracownicy drużyn konduktorskich mają status funkcjonariusza publicznego, czyli w przypadku agresji na pracownika staje się to przestępstwem ściganym z urzędu.

Nie warczmy na kolejarzy - pociąg i tak dojedzie do celu, a awantura go na pewno nie przyspieszy.

©℗



FOT. ARKADIUSZ WOJTASIEICZ

W wakacje w Bydgoszczy spotkali się miłośnicy pociągów z całej Polski z okazji 175 lat kolei w tym mieście. Były tłumy - od dzieci po seniorów. Jubileuszowi towarzyszyła m.in. wystawa taboru

eprasa.pl 98fe2b04de

HISTORIA PRL

Jak Polska Ludowa zbudowała „Tysiąc szkół na Tysiąclecie”

Nie do końca wiadomo, czy autorem hasła był osobiście tow. Władysław Gomułka. Ale faktem jest, że do wybudowanych wówczas szkół poszedł właśnie kolejny rocznik polskich dzieci

Mariusz Grabowski

Masowy program budowy szkół był dla władz PRL pokazem sprawczości państwa. Był też sposobem ogarnięcia wyżu demograficznego lat 50. i propagandowo uderzał w Kościół, który szykował się do obchodów Tysiąclecia chrztu Polski.

Dzieło socjalizmu

Już w samym haśle „Tysiąc szkół na Tysiąclecie Państwa Polskiego” widać rozmach i polityczną wizję. Zgodnie z wielokroć powtarzaną legendą rzucił je osobiście ówczesny I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka 24 września 1958 r. na jednej z narad partyjnych. Jej tematem były przygotowania do millennium państwa polskiego.

Już w lutym 1958 r. Rada Państwa oraz Sejm ogłosiły państwowe obchody „Tysiąclecia Państwa Polskiego”. W uchwale Rady Państwa z 18 lutego 1958 r. podkreślano, że „uroczystości poświęcone Tysiącleciu państwowości polskiej staną się wielkim przeżyciem całego narodu, pogłębią w nim świadomość chlubnego historycznego dziedzictwa, wzmocnią poczucie odpowiedzialności za dalsze losy Ojczyzny, pomnożą siły wewnętrzne niezbędne dla urzeczywistnienia dzieła budownictwa socjalizmu”.

Jednocześnie masowa budowa szkół miała być twardą odpowiedzią na ogłoszoną przez Kościół w 1957 r. Wielką Nowennę. Sekretariat KC PZPR nazywał ją wprost „obłędnym programem wtrącania Polski w mroki obskurantyzmu”.

Gomułka wizjoner

25 września 1958 r., na spotkaniu I sekretarza partii z tzw. aktywem, czyli działaczami partyjnymi pracującymi w oświacie: nauczycielami, pracownikami administracji szkolnej, działaczami ZNP, przedstawiono konkrety.

Gomułka mówił, że planowana reforma musi skutkować przyspieszeniem budowy szkół. Dodał, że budowa „tysięcy nowych budynków szkolnych” będzie najlepszym sposobem uczczenia „obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego”. Kilkukrotnie podkreślał, że wysiłek budowy nowych szkół musi być wspierany przez społeczeństwo. „Wysiłkiem całego narodu zbudujemy tysiąc szkół na Tysiąclecie” – zapowiadał.

Jednocześnie zapowiedział zmiany w edukacji: wydłużenie obowiązku szkolnego o dwa lata, m.in. poprzez przedłużenie nauki w szkole podstawowej do ośmiu lat.

Górnicy są ofiarni

Jak twierdzi historyk gospodarki dr Andrzej Zawistowski, prawdziwego kształtu hasło budowy tysiąca szkół nabrało 9 listopada 1958 r., gdy na podstawie decyzji Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu powołano Społeczny Fundusz Budowy Szkół Tysiąclecia. W kolejnych miesiącach powstały jego lokalne oddziały w poszczególnych województwach.

Jak dodaje, w rzeczywistości w wielu wypadkach zbiórki i czyny społeczne przy budowie szkół były wymuszane przez władze, np. poprzez wpłaty przy różnych czynnościach administracyjnych. Na Śląsku organizowano nawet „niedziele górnicze”, a dochód z darmowej pracy górników miał być przeznaczany na budowę szkół.

„Masowe zaangażowanie się ludzi w powojenne odgruzowywanie i porządkowanie miast było przejawem autentycznego zaangażowania społeczeństwa. Podobnie bywało z pracą na rzecz tysiąclatek – zwłaszcza w mniejszych miejscowościach. Ludzie widzieli sens swojej pracy i liczyli, że przyniesie ona wymierny efekt dla ich dzieci i wnuków” – zwraca uwagę Zawistowski.

Święto w Czeladzi

Oficjalnie pierwszą tysiąclatkę oddano do użytku w lipcu 1959 r. w Czeladzi. Zbudowali ją żołnierze likwidowanego wówczas Wojskowego Korpusu Górniczego. Szkole nadano imię gen. Karola Świerczewskiego. Jej budowa trwała zaledwie 260 dni

Dlaczego pierwsza tysiąclatka powstała właśnie tam? Uznano, że Czeladź ma bogate tradycje walk rewolucyjnych. Drugim powodem był katastrofalny brak izb lekcyjnych w mieście, czyli jak pisali komunistyczni propagandyści – „spadek po faszystowskich rządach sanacji”.

26 lipca na otwarcie szkoły przybyli towarzysze Władysław Gomułka i Edward Gierek, szef struktur PZPR na Śląsku. „Fundatorom tej szkoły, pierwszej szkoły – pomnika dla uczczenia Tysiąclecia – żołnierzom Wojska Polskiego i górnikom kopalni »Czeladź« składam w imieniu KC PZPR i w imieniu własnym słowa najwyższego uznania i podziękowania” – brzmiał wpis Gomułki do księgi pamiątkowej szkoły.

Statystyka na plus

Oblicza się, że wzniesiono 2791 szkół, w których było 21 tys. klas. Przygotowano 10 tys. miejsc w internatach i 20 tys. mieszkań dla nauczycieli. Powstały także 273 wiejskie ośrodki zdrowia, 23 przychodnie i dwa szpitale. Wszystkie tysiąclatki były niemal identyczne, wybudowane według tego samego, czasem lekko modyfikowanego projektu. Miały być bowiem tanie i funkcjonalne. Władze wybrały technologię budowy z betonowych prefabrykatów, która pozwalała na szybkie wzniesienie prostych i powtarzalnych konstrukcji. Dominującym stylem był modernizm.

Jeden z projektantów, Tadeusz Binek, wspominał po latach: „Miały być tanie i funkcjonalne. Teraz wiele osób zarzuca, że są brzydkie. W końcu to nie miały być pałace. Przynajmniej jak się na nie patrzy, nikt nie ma wątpliwości, że to szkoły”. Każdy kompleks szkolny, prócz sal lekcyjnych, miał posiadać kuchnię, stołówkę, bibliotekę, oświetloną salę gimnastyczną i gabinet lekarski. W podziemiu często schron przeciwlotniczy. Obok zaplanowano boiska.

Cały naród buduje

Budowę szkół finansowano z kilku źródeł. Przede wszystkim ze Społecznego Funduszu Odbudowy Kraju i Stolicy, który wcześniej funkcjonował pod nazwą: Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy, oraz z Funduszu Budowy Szkół Tysiąclecia. Do programu zgłaszały się miasta szczebla wojewódzkiego, ale i te mniejsze, powiatowe.

Pieniądze szły także z datków społecznych. Do końca 1965 r. zebrano w ten sposób 8,5 mld zł. Wpłat dokonywała także Polonia, która dzieliła się dolarami. W sumie uzbierano z jej składek blisko 210 tys. dolarów (dla zagranicznych wpłat na budowę szkół ustalano specjalny kurs dolara). Organizowano także zbiórki książek dla nowych szkół.

Znaleźć pozytywy

Prof. Marcin Kula doszukiwał się w projekcie i realizacji wielkiej budowy aspektów społecznie pozytywnych, choć podszytych ideologią. Jak pisał w artykule „Tysiąc szkół na Tysiąclecie. Akcja mimo wszystko mądrzejsza niż inne”, inicjatywa tysiąclatek wpisywała się w model modernizacji obciążonego niezliczonymi przypadłościami systemu komunistycznego.

„W końcu komunizm, a w tym PRL, był projektem modernizacyjnym. Z drugiej strony cały projekt oraz jego element, jakim było kształtowanie »nowego człowieka«, był fundamentalnie ułomny przez założenie, że można modernizować w ramach projektu, który dawało się streścić słowami »za twarz go i do socjalizmu«” – podsumowywał historyk.

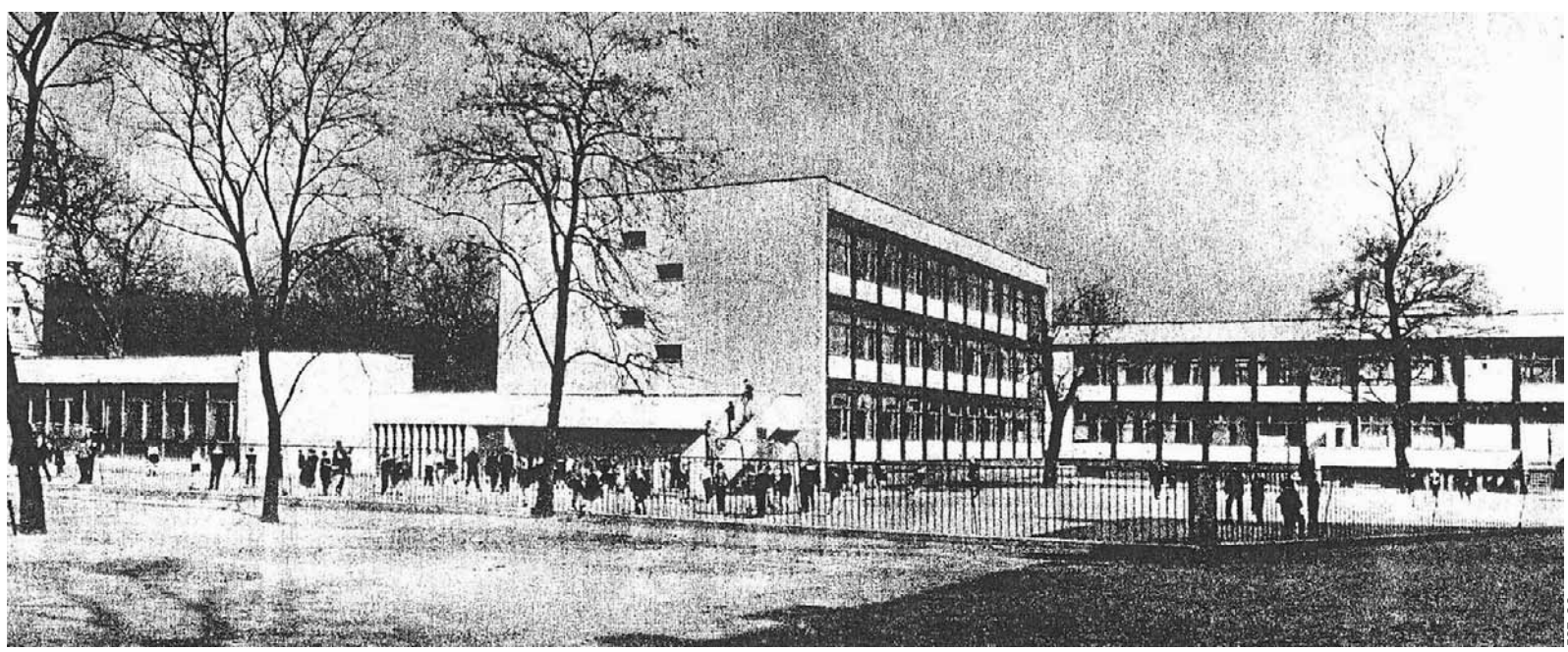
Prof. Jerzy Eisler dodaje: „Projektem sztandarowym PZPR było wybudowanie tysiąca szkół, co obok niezwykle bogatego programu rozrywkowego m.in. w kinach i telewizji, miało przyćmić Milenium Chrztu (...) Powstawały też Osiedla i Parki Tysiąclecia, zadrzewiano kraj, budowano wały przeciwpowodziowe”.

Gagarin w szkole

4 września 1965 r. w Warszawie przy ul. Ożarowskiej otwarto tysięczną szkołę-pomnik Tysiąclecia Państwa Polskiego. Edward Ruszkowski, przewodniczący ówczesnego stołecznego komitetu Frontu Jedności Narodu, mówi tak: „Przed siedmiu laty cały naród, dla uczczenia obchodów państwa polskiego, podjął zobowiązanie wybudowania własnym wysiłkiem 1000 szkół-pomników. I oto obietnicy tej dotrzymaliśmy”. Szkoła otrzymała imię Hugona Kołłątaja.

W kolejnych miesiącach otwierano następne tysiąclatki. Zalecano, by na te uroczystości zapraszać znane osoby. Np. w Zielonej Górze w otwarciu szkoły wziął udział kosmonauta Jurij Gagarin, goszczący wtedy w Polsce. Patronami nowych placówek zostawali często komunistyczni bohaterowie, m.in. Paweł Finder, Małgorzata Fornalska czy Karol Świerczewski.

W przekazach propagandowych podkreślano, że tysiąclatki „są pełne słońca i radości”. Drukowano specjalne dodatki prasowe, a od maja 1966 r. emitowano nawet 10-minutową audycję radiową „Kwiaty Polskie – Radiokronika Tysiąclatek”, podczas której informowano społeczeństwo o osiągnięciach akcji.



FOT. CC

Klasyczna tysiąclatka. Szkoła Podstawowa nr 71 im. Leona Kruczkowskiego we Wrocławiu

eprasa.pl 98fe2b04de

GWIAZDA TYGODNIA

Sebastian Karpiel-Bułecka: Nasza kariera jest osadzona na mocnej skale, a nie na piasku

W tym roku Zakopower świętuje dwudziestolecie działalności. Z tej okazji jego wokalista i lider, Sebastian Karpiel-Bułecka, spróbował zdefiniować nam, na czym polega wyjątkowy sukces tego zespołu i jak dalej ten projekt będzie się rozwijał

Paweł Gzyl

Ma pan za sobą dwa sezony jurorowania w „Must Be The Music". Jak się pan odnalazł w roli oceniającego występy muzycznych amatorów?

Z mojej perspektywy radzę sobie całkiem nieźle. Na pewno początkowo nie było to proste. Musiałem się oswoić z tą rolą, zrozumieć ją i nauczyć się jej. Teraz dobrze się tam czuję, lubię zasiadać przy tym stole jurorskim i cieszę się, że przed nami trzeci sezon, który zaczniemy nagrywać w listopadzie. Udało nam się podczas tych dwóch edycji wypromować fajne zespoły i ludzi, którzy zostali na scenie muzycznej i świetnie sobie na niej radzą. Cieszę się, że publiczność oglądająca ten program podzielała nasze wybory i stawiała na tych, którzy byli też naszymi faworytami. To było dla nas ważne, abyśmy mogli podpisać się pod czymś, co nie jest wbrew naszym gustom.

To przy stole jurorskim „Must Be The Music" poznał pan rapera Miuosha. Przypadliście sobie obaj do gustu?

Polubiliśmy się i dobrze się rozumiemy. Podobnie patrzymy na muzykę, podobne rzeczy nas fascynują. Miuosh tak jak ja przywiązuje dużą wagę do tradycji. To się w bardzo fajny sposób zazębiło.

To stąd powstał pomysł na jubileuszową trasę Zakopowera, podczas której zaprezentujecie swe piosenki w nowych wersjach opracowanych przez Miuosha?

Tak. W pewnym momencie pomyśleliśmy, że fajnie by było zrobić coś wspólnie i wyruszyć z koncertami po Polsce. Zaprosiłem Miuosha do wyprodukowania serii naszych występów jubileuszowych tej jesieni. Bardzo się na tę przygodę cieszę i wiem, że będzie to stało na naprawdę wysokim poziomie. Wszyscy, którzy zdecydują się przyjść na taki koncert, wyjdą z niego wzbogaceni ciekawym muzycznym przeżyciem.

Zakopower i Miuosh to dwa zupełnie inne światy muzyczne. Wy wyrastacie z folku, a on z rapu. Jaki znaleźliście wspólny mianownik?

Jesteśmy z innych światów, co nie znaczy, że te światy nie mogą się przenikać. Nie zapominajmy, że największym sukcesem Miuosha były „Pieśni współczesne", które opierały się na śląskim folklorze. To o czymś świadczy. Zakopower z kolei sięgał zawsze do tradycji skalnego Podhala. To jest zatem ten wspólny mianownik, który pozwolił nam spotkać się i stworzyć coś razem. Wiem, że Miuosh czuje to, co my gramy, bo już daliśmy kilka wspólnych koncertów – w tym roku dwa duże występy na Męskim Graniu, a w zeszłym koncert jubileuszowy, który był emitowany przez telewizję Polsat. Wiem więc, że to działa. Oczywiście na te jesienne koncerty rozszerzymy i wzbogacimy ten repertuar. Sięgniemy nawet po piosenki, których Zakopower nigdy nie grał na żywo, ściągniemy je z różnych naszych płyt. Dlatego wierzę, że będzie to ciekawe i godne polecenia.

Na czym polegają te nowe wersje?

To dalej jest Zakopower. Proszę nie myśleć, że gramy całkiem inaczej. Pomysły Miuosha bardzo ładnie przenikają się z naszymi. Czasem wybieramy dosłownie cytat z jakiegoś utworu i łączymy go z innym lub traktujemy jako wstęp do zupełnie przearanżowanej piosenki. Trudno to opowiedzieć słowami. W niektórych utworach Miuosh pojawia się ze swoim rapem, ze swoimi elektronicznymi pomysłami lub gra na mało znanych instrumentach. Na pewno ma to inny wyraz, ale dalej jest to Zakopower i brzmi to po naszemu.

Jak się wam gra taką muzykę?

To jest dobre, a ja lubię takie rzeczy, bo to nas w pewien sposób odświeża i daje nową energię. Jesteśmy przyzwyczajeni do grania tych utworów w określony sposób przez wiele lat wykonywania ich na scenie. Nowe aranże Miuosha są więc dla nas wyzwaniem. Wyjście z tej dobrze znanej formy i zmiana w myśleniu dobrze nam robi. Zaczynamy się tymi piosenkami na nowo nakręcać. To jest super w tym projekcie.

Zanim pojawił się Zakopower, już jako nastolatek grał pan w góralskiej kapeli ludowej. To była dobra szkoła muzycznego rzemiosła?

Myślę, że tak. To był solidny fundament pod to, co się wydarzyło potem. Nasza droga była długa i czasem kręta, kosztowała mnie dużo czasu, energii i zdrowia. Wspominam ją jednak z sentymentem, bo była to prawdziwa szkoła muzykowania. Dzięki temu, co przeszedłem, doceniam to, co mam w tej chwili. Cieszę się, że budowałem swą karierę muzyczną w ten sposób – że jest osadzona na mocnej skale, a nie na piasku. Dzięki temu Zakopower działa już 20 lat. Nasz sukces nie był dziełem przypadku, tylko efektem solidnej pracy, która doprowadziła nas do tego punktu, w którym teraz jesteśmy.

Zakopower narodził się ze spotkania pana góralskiej kapeli z Mateuszem Pospieszalskim z Voo Voo. Jak do tego doszło?

Poznałem Mateusza, kiedy miałem 18 lat. Graliśmy wtedy w góralskiej knajpie w Karpaczu. Był tam z nami Joszko Broda. Zadzwonił do niego Wojtek Ossowski z radiowej Trójki z informacją, że zespół Voo Voo szuka góralskich muzykantów, z którymi mógłby zagrać koncert. Joszko nas polecił i pojechaliśmy do Warszawy. Tam w studiu poznaliśmy grupę Voo Voo – Wojtka Waglewskiego, Janka Pospieszalskiego, Mateusza Pospieszalskiego i nieżyjącego już Piotra „Stopę" Żyżelewicza. Zagraliśmy ten koncert i było to super przeżycie: po raz pierwszy improwizowaliśmy i poruszaliśmy się w zupełnie innej przestrzeni muzycznej niż dotychczas. To był impuls, który potem zaowocował powstaniem zespołu Zakopower. Tych rozmaitych spotkań było jednak mnóstwo: Wojtek zaprosił nas na wspólną trasę z Voo Voo, nagrywaliśmy z Kayah i Bregoviciem, pracowaliśmy z Justyną Steczkowską. Wszystko to sprawiło, że pojawił się pomysł na granie czegoś więcej niż tylko muzyka ludowa. Mieliśmy wielkie szczęście, że spotykaliśmy na swej drodze takich artystów, którzy byli dla nas wielką inspiracją i pomogli w stworzeniu tego projektu. Przede wszystkim mam tu na myśli Mateusza.

Jak wymyśliliście oryginalną nazwę nowego zespołu?

Ta nazwa miała odzwierciedlać charakter zespołu i to, w jaki sposób gramy. Pomysłów było początkowo bardzo dużo. Pamiętam, że jeden z pierwszych koncertów zagraliśmy jako Zakopane Sound System. (śmiech) Bo dużo było wtedy w naszej muzyce elektronicznego brzmienia i klubowych rytmów. Potem miał być Gazdozbiór i jeszcze parę innych. W końcu przeszła mi przez głowę myśl, że w tym, co robimy jest duża moc i energia. Mnie zawsze roznosiło na scenie. Do tego wszyscy pochodzimy z Podhala, gdzie najbardziej znaną miejscowością jest Zakopane. Połączyliśmy to w jedno – i stąd ta nazwa.

W jakimś sensie promujecie na całym świecie miasto Zakopane. Jego władze jakoś się wam za to odwdzięczają?

Z tym to różnie bywa. Nie chcę się zagłębiać w ten temat, bo podejście władz Zakopanego jest dla mnie trudne i niezrozumiałe. Radzimy sobie jednak świetnie sami, więc nie narzekam.

Od razu w pierwszym teledysku „Kiebyś ty" zaprezentował pan oryginalny image w stylu góralskiego macho. Czyj to był pomysł?

Chcieliśmy zadbać o każdy aspekt tego projektu. Żeby to dobrze brzmiało, żebyśmy dobrze wyglądali i żeby było to spójne. Staraliśmy się też odzwierciedlać w naszym ubiorze to, co znalazło się na naszej pierwszej płycie – „Music Hal". Zatrudniliśmy wtedy znanego stylistę Sławka Blaszewskiego, z którym od razu się polubiliśmy, dzięki czemu poczuł to, co chcemy przekazać. Stąd to, jak wyglądamy w tym pierwszym teledysku, jest głównie jego zasługą. Uważam, że to był strzał w dziesiątkę. Wiele zespołów folkowych zaczęło się potem tym inspirować i próbować to naśladować. Byłem wtedy bardzo zadowolony z tego, w którą stronę to poszło i jak wizerunkowo to wygląda.

Z miejsca rozkochał pan w sobie wszystkie Polki. Musieliście po koncertach barykadować się w garderobie przed fankami?

(śmiech) Nie było takich sytuacji.

Ale przyzna pan, że pana charyzma pomogła Zakopowerowi w zdobyciu popularności.

Trudno mi to oceniać. Każdy czynnik miał tutaj znaczenie. Jeżeli tak ludzie mnie odbierali – to pozostaje mi się tylko cieszyć.

Jak góral z Zakopanego odnalazł się w pełnym celebrytów świecie polskiego showbiznesu?

Czy ja się odnalazłem w tym świecie do końca? Chyba nie. Dlatego raczej nie uczestniczę w showbiznesowych imprezach, no, chyba że na nich gram, to wtedy jestem obecny siłą rzeczy. Nie czuję się tam jednak do dziś komfortowo. Może dlatego, że nie odnajduję tam prawdy. Wiele tam sztuczności, ci ludzie często zakładają różne maski, w których występują, a niekoniecznie zgadza się to z rzeczywistością. Mnie to zawsze męczyło, dlatego starałem się tego unikać. Oczywiście nie mówię, że w tym świecie wszyscy są tacy, bo jest w nim wiele wartościowych i prawdziwych artystów. Ale i tak wolę się trzymać na uboczu i żyć swoim życiem. Myślę, że dobrze na tym wyszedłem.

To chyba ta autentyczność była i jest kluczem do sukcesu Zakopowera.

Na pewno najważniejszy był skład zespołu. Stworzyliśmy go w cztery osoby: oprócz mnie byli to Bartek Kudasik, Wojtek Topa i Józef Chyc-Scepon, najstarszy z nas, który przeszedł już na emeryturę i z nami nie gra. Na tym naszym koleżeństwie i przyjaźni to wszystko wyrosło. Dobraliśmy resztę składu – i okazało się, że to działa. Oczywiście na sukces zespołu ma wpływ wiele czynników. Ale najważniejszym są ludzie, których spotykasz na swej drodze – ci, którzy cię zainspirują, którzy ci pomogą, którzy pójdą z tobą w tym samym kierunku. Ja miałem szczęście, że właśnie w ten sposób się to u nas od-

eprasa.pl 98fe2b04de

było. Liczy się też to, że wszyscy w jakiś sposób jesteśmy utalentowani, że ciężko pracujemy, że jesteśmy konsekwentni w tym, co robimy i nigdy nie chodziliśmy na skróty. Tak naprawdę nigdy nie zrobiliśmy nic wbrew sobie. Dzięki temu dziś możemy śmiało spojrzeć w lustro. Nie mamy sobie nic do zarzucenia.

Największy sukces przyniósł wam trzeci album „Boso" z tytułowym singlem, który stał się ponadczasowym przebojem. Na czym polegała jego wyjątkowość?

Trudno powiedzieć. Może ten refren okazał się po prostu uniwersalny? Może sprawdziła się melodia? Myślę, że to czasem wyglądało tak, iż ludzie nie wsłuchiwali się w ten tekst, tylko przypisywali go do różnych wydarzeń w swoim życiu. Kiedy ta piosenka się pojawiła, dostawałem wiele wiadomości od słuchaczy i one były przeróżne. Niektórzy dobrze odczytywali tekst i wiedzieli, że opowiada on o odchodzeniu z tego świata. Ale ktoś inny śpiewał tę piosenkę wracając z imprezy boso plażą. Ktoś inny mówił, że to świetny utwór dla tych, którzy wzięli kredyt we frankach szwajcarskich i zostali puszczeni boso przez banki. (śmiech) Ten utwór stał się więc w jakiś sposób uniwersalny i można go było przypisać do różnych sytuacji. Do dziś jest to najbardziej rozpoznawalna piosenka zespołu, która przyniosła nam wraz z albumem, na którym się znalazła, aż trzy Fryderyki.

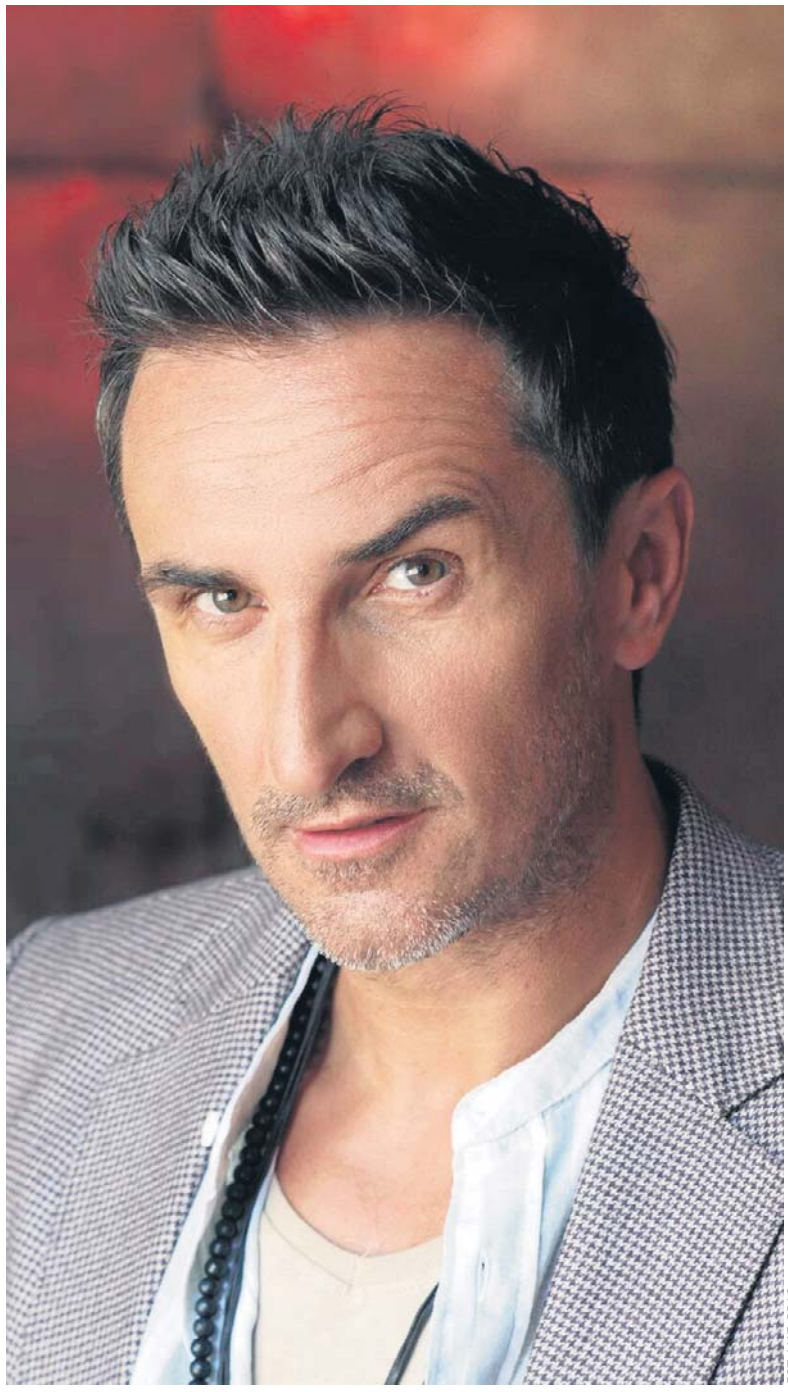
Dzięki „Boso" weszliście do muzycznej ekstraklasy i zaczęliście grać aż 100 koncertów rocznie. Trudno było wytrzymać takie tempo?

Graliśmy nawet więcej niż 100 koncertów rocznie. Pamiętam, że nas w ogóle w domu nie było. Nie było to łatwe, ale ekscytujące. Dziś wspominamy te czasy z sentymentem. Zresztą cały czas dużo gramy. Teraz jest poniedziałek i wracam z trzydniowej trasy, a w piątek wyruszam już w następną. Zakopower dużo gra i to świadczy, że chyba robimy to dobrze, skoro jest na nas zapotrzebowanie.

Występujecie nie tylko w Polsce, ale i na innych kontynentach. Jak tam przyjmowana jest na wskroś polska muzyka Zakopowera?

Zagraliśmy dużo takich zagranicznych tras. Najbardziej egzotyczna była ta po Chinach. Stanęliśmy tam przed publicznością, która reprezentuje zupełnie inną kulturę i nie rozumie, o czym śpiewamy. A mimo to te koncerty były naprawdę wyjątkowe i ci ludzie świetnie się na nich bawili. Co więcej, emocjonalnie reagowali w tych momentach, w których ja bym chciał, żeby tak było. To było niezwykłe doświadczenie. Do tego po występach zbierali od nas autografy. Chińczycy to po prostu wymarzona publiczność. Byliśmy też na trasie w Indiach, co też było fajnym przeżyciem. Wszędzie byliśmy przyjmowani z zaciekawieniem i życzliwością.

Od początku jest pan niepodzielnym liderem Zakopowera. Jak się pan czuje w tej roli?



FOT. MAT. PRAS.

Sebastian Karpiel-Bułecka: Cokolwiek byśmy nie zagrali, to i tak będzie słychać, skąd pochodzimy. Na tym chyba polega siła tego projektu

To wyszło w naturalny sposób. W góralskich kapelach liderem zawsze jest prymista, czyli ten, który podaje podstawową melodię – gra i śpiewa – a reszta mu akompaniuje. Tak też stało się w naszym przypadku. Może mam jakąś charyzmę, która mnie tym liderem uczyniła. Czasem mi z tym fajnie, czasem mnie to męczy, bo wolałbym trochę się schować i odpocząć. Ale nie będę mówił, że nie lubię tego i jest to coś, co mi przeszkadza. Tak się ułożyło i dobrze nam z tym.

Przez te 20 lat działalności zespołu gracie w niemal niezmienionym składzie. Jak to możliwe?

To jest naprawdę niezwykłe, że udało nam się w tym składzie tyle przetrwać. Myślę, że to dlatego, iż spotkała się grupa osób, które sobie przypadły do gustu, świetnie się ze sobą rozumieją i lubią ze sobą spędzać czas. A przebywamy ze sobą naprawdę wiele godzin. To jest jak w małżeństwie: czasem jest wzajemne zmęczenie, czasem zdarzają się kłótnie, ale pomimo to potrafimy ze sobą grać przez 20 lat w niemal niezmienionym składzie. Myślę, że to wielka łaska, bo nie każdemu jest to dane. Ma to bardzo dobry wpływ na jakość naszej muzyki, bo jesteśmy świetnie zgrani, nauczyliśmy się przez te dwie dekady siebie i doskonale się rozumiemy. To wszystko procentuje na scenie.

Nigdy nie było między wami poważniejszych konfliktów, które groziłyby rozpadem zespołu?

Nic takiego nigdy się nie zdarzyło.

Prywatnie też się spotykacie?

Raczej odpoczywamy od siebie. Każdy z nas ma swoje rodziny i swoje sprawy. Do tego nie mieszkamy w jednym miejscu. Ja przeprowadziłem się do Warszawy, trochę jestem w Zakopanem. Bartek z Wojtkiem są na Podhalu, Mateusz mieszka w Częstochowie.

20 lat to szmat czasu. Czuł się pan kiedyś zmęczony i myślał o zakończeniu działalności zespołu?

Niewiele było takich momentów. Muzykowanie to tak naprawdę ciężki kawałek chleba i bywa bardzo frustrujące. Wydając każdą nową płytę, czuję się jakbym debiutował. Za każdym razem trzeba się zmagać z jakimiś przeciwnościami. Choćby zawsze chcemy, żeby naszą nową piosenkę zagrało radio, a dziś wcale nie ma pewności, że tak się stanie. Kiedyś myślałem, że jak się odniesie duży sukces, to potem powinno być już tylko łatwiej. Tak jak w innych branżach. Tymczasem w show-biznesie wcale to tak nie działa do końca, więc bywa to frustrujące. Miłość do muzyki wszystko jednak przezwycięża i trwamy dalej, robiąc to, co kochamy.

W ciągu tych minionych dwóch dekad nieco zmieniła się wasza muzyka – od bardziej elektronicznego brzmienia do żywego grania o rockowym tonie. Z czego to wynika?

Z chęci rozwoju i zmian. To całkiem normalne. Chcemy zaskakiwać naszych słuchaczy i robić nowe rzeczy, żeby się tym nie znudzić. Szukamy ciągle nowych rozwiązań muzycznych, aby nie stać w miejscu. A że mamy takich, a nie innych muzyków w składzie, wykorzystujemy takie, a nie inne instrumenty, to możemy sobie na to pozwolić i to jest w tym wszystkim piękne.

Na ostatnim albumie „Widzialne/Niewidzialne" sięgnęliście nie tylko po góralszczyznę, ale też po folklor z innych części świata. To efekt waszych wojaży po innych kontynentach?

Raczej naszej fascynacji różną muzyką. Rzeczywiście ta płyta jest eklektyczna i pojawiają się na niej różne brzmienia, ale to czyni ją tylko ciekawą. Bo my tacy jesteśmy. Zawsze fascynowaliśmy się różnymi płytami – od jazzu, przez etno, po rocka. Muzyka ludowa na całym świecie jest bardzo podobna do siebie i ma wiele wspólnych cech. Dobrze się ją więc przemyca. Można połączyć góralszczyznę z folklorem z Senegalu i to będzie świetne. Trebunie-Tutki nagrali płytę z zespołem reggae Twinkle Brothers z Jamajki – i jakież to było fascynujące! Jest tu więc duże pole do popisu.

Trzeba też podkreślić, że piosenki Zakopowera niosą zawsze pozytywne przesłanie.

Staramy się, aby w naszych piosenkach zawsze była zawarta jakaś refleksja nad życiem i światem. To dobrze – bo trzeba śpiewać o czymś. Nie lubię błahych tekstów, które opowiadają o rzeczach nieistotnych. Fajnie jest, kiedy piosenka ma głębszy sens. Wtedy może słuchaczy wzbogacić wewnętrznie, podnieść na duchu, rozweselić, skłonić do przemyśleń.

Po 20 latach współpracy z Mateuszem Pospieszalskim wydaliście właśnie pierwsze nagranie z innym producentem – „Otentutoja" z Leonem Krześniakiem. Potrzebowaliście świeżego spojrzenia na waszą muzykę?

To zupełnie naturalna droga. Chcemy zmienić i odświeżyć nasze piosenki. Tak trzeba robić, żeby to wszystko miało sens i żeby był progres. Świetnym przykładem takiego myślenia był Miles Davis, który cały czas zmieniał swych współpracowników i wykorzystywał najbardziej utalentowanych muzyków z kolejnych pokoleń do tworzenia własnej muzyki. Dzięki temu jest ona ponadczasowa. My też szukamy dla siebie nowej przestrzeni.

I jak się wam pracowało z producentem z młodego pokolenia?

Super. Mimo że Leon jest dużo młodszy od nas, to rozumiemy się świetnie. Przygotowaliśmy z nim materiał na całą nową płytę, ale na razie co jakiś czas będziemy prezentować kolejne single. Może we wrześniu pojawi się następny. Praca nad tym materiałem była wielką przyjemnością i świetną zabawą. Poznaliśmy się z Leonem na tydzień przed wejściem do studia, ale kiedy zaczęliśmy nagrywać, poczuliśmy, jakbyśmy się znali całe życie.

Jaka będzie ta nowa płyta Zakopowera?

Na pewno będzie nowocześnie brzmiała, ale nie straci ducha Zakopowera. Będzie nadal wiadomo, kto to śpiewa i kto to gra, bo przecież nie możemy udawać kogoś innego, kim nie jesteśmy. Cokolwiek byśmy nie zagrali, to i tak będzie słychać, skąd pochodzimy. Na tym chyba polega siła tego projektu.

eprasa.pl 98fe2b04de

NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

HISTORIA/ POLITYKA

Dumając o zmierzchu cywilizacji łacińskiej

Czy Samuel Huntington, autor znanego wszystkim pojęcia „Zderzenie cywilizacji", polemiki z tezą Francisa Fukuyamy o „Końcu historii", kiedykolwiek zetknął się z pracami Feliksa Koneczngo?

Nic na to nie wskazuje. Huntington studiował z uwagą Oswalda Spenglera i Arnolda Toynbee'ego, ale o książce Polaka, wydanej także w Anglii, w latach 60. nie słyszał. Szkoda, bo ten rozkminił kwestię odrębności cywilizacyjnej kultur ponad pół wieku wcześniej.

Europa jako eurokalifat

Fukuyama twierdzi, że po upadku komunizmu świat radośnie zmierza ku demokracji liberalnej, z kolei Huntington argumentował, że zakończenie zimnej wojny oznacza jedynie koniec konfliktów ideologicznych, a na pierwszy plan wysuną się międzycywilizacyjne spory religijno-kulturowe. W których cywilizacja zachodnia, jako zmierzchowa, przegra z wpływami chińskimi i islamskimi.

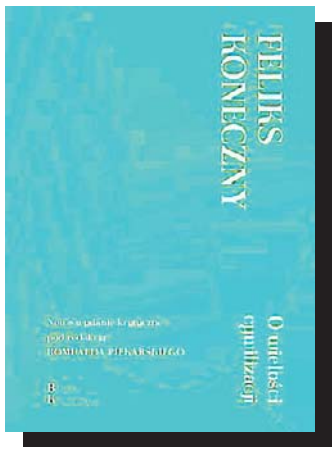
Koneczny taki spór przewidywał już w latach 30. dowodząc, że sprzeczności między różnymi cywilizacyjnymi etykami są nie do pogodzenia. Próby mieszania typów kończą się, według niego, zdominowaniem jednej przez drugą lub powstaniem niezdolnej do rozwoju tzw. mieszanki acywilizacyjnej. Wynika to z faktu, że w poszczególnych cywilizacjach różny jest stosunek jednostki do społeczeństwa, władzy, czy wreszcie Boga.

Zachód do lamusa?

Za najdoskonalszą ze wszystkich istniejących cywilizacji Koneczny uznawał cywilizację łacińską (a za jej najpełniejszą realizację kulturę polską). Gdy pisał „O wielości cywilizacji", za największe zagrożenie łacińskości uważał cywilizację żydowską, turańską (Rosjan) i bizantyńską (Prusaków). Dziś pisałby pewnie, jak Huntington, o realnym zagrożeniu ze strony cywilizacji arabskiej i w dalszej perspektywie chińskiej

Ale „O wielości cywilizacji" to nie tylko próba ujęcia dziejów ludzkości z perspektywy odrębnych kultur. To także spojrzenie na rzeczywistość oczami filozofa. „Na wewnętrzną stronę duchową życia składają się pojęcia Dobra (moralności) i Prawdy, na cielesną zdrowia i dobrobytu; nadto istnieje kategoria Piękna, wspólna ciału i duszy. Nie ma takiego przejawu życia, który by nie pozostawał w jakimś stosunku do którejś z tych kategorii" – pisał Koneczny.

Bożydar Brakoniecki



Feliks Koneczny, „O wielości cywilizacji", pod red. Romualda Piekarskiego, Fronda, Warszawa 2026, cena 89,90 zł

HISTORIA/ RELIGIA

Co da się wyszperać w rzymskich archiwach?

Dr Jessica Wärnberg napisała w autoprezentacji na swojej stronie internetowej (jessicawarnberg.com), że jej ulubionymi miejscami w Rzymie są „the Vatican Archive and archives of the Roman Inquisition". Faktycznie, w jej książce „Rzym miasto Boga. Opowieść o świętości i władzy", wypisy z bibliotek i archiwów stanowią całkiem sporą jej zawartość.

Spacer po Ager Vaticanus

Skoro to opowieść o „świętości i władzy", musi zaczynać się od św. Piotra, który pozdrawiając chrześcijan w Azji Mniejszej pisał w liście, że pozdrawia ich w imieniu Kościoła, „który jest w Babilonie". Czyli w Rzymie, choć oczywiście nie brak sceptyków, wedle których „Babilonem" zaczęto nazywać miasto dopiero po śmierci Apostoła. Jego egzekucja odbyła się w dniu 13 października 64, a miejscem śmierci był zapewne Cyrk Kaliguli na Ager Vaticanus.

Narracja Wärnberg jest ustawiona liniowo, chronologicznie. Na ponad 400 stronach splata losy późniejszych papieży z historią cywilizacji, pokazując, jak ich decyzje wpływały na politykę, sztukę, kulturę i codzienne życie mieszkańców. Można zapytać: czy w Rzymie wiara i polityka kiedykolwiek funkcjonowały oddzielnie? Idąc tym tropem, autorka czyni z historii Rzymu studium ludzkiej ambicji, wiary, intryg i dążenia do władzy.

Papież Leon I Wielki

Recenzenci uwielbiają używać zwrotu o tym, że autor lub autorka „nie unikają trudnych pytań". Otóż dr Wärnberg faktycznie ich nie unika, docierając często do wielce skomplikowanych relacji między Kościołem a państwem. Dzięki temu poznajemy zarówno świętych, jak i grzeszników, wizjonerów i manipulatorów, którzy przez wieki zasiadali na tronie Piotrowym. Jednym z tych, którzy wedle dr Wärnberg zapisali się akurat po jasnej stronie, był Leon I (390-461), który uczynił papiestwo czołową siłą w chrześcijaństwie.

Ponoć ojcowie soboru chalcedońskiego, przyjmując przez aklamację jego list dogmatyczny (w sprawie błędu, który archimandryta konstantynopolitański Eutyches popełnił w rozumieniu Osoby Chrystusa), zawołali: „Piotr przemówił przez usta Leona". Głosił, że rola biskupa Rzymu, jako następcy Piotra, jest w Kościele niepowtarzalna, ponieważ „jednemu tylko apostołowi powierzone zostało to, co wszystkim apostołom jest oznajmione" (kazanie 83, 2).

Lucjan Strzyga



Jessica Wärnberg, „Rzym miasto Boga. Opowieść o świętości i władzy", Znak, Kraków 2026, cena 79,90 zł

HISTORIA/ LITERATURA

Sándor Márai patroluje Paryż i Londyn

Pisarz Sándor Márai, a właściwie Sándor Károly Henrik Grosschmid de Mára (1900-1989), miewał zdumiewające pomysły. Jesienią 1935 r. wyruszył pociągiem – via Austria – z Budapesztu do Paryża i Londynu. Po co? By sporządzić protokół z oględzin Zachodu i przekonać się, czy rzeczywiście „Europa upada". Zapis tej podróży ukazał się właśnie w „Czytelniku" pod tytułem „Patrol na Zachodzie".

„Miazmaty dekadencji"

Patrolowanie kojarzy się bardziej z czynnościami militarnymi niż literackimi. Ale pytaniem, które towarzyszy Máraiemu przez całą podróż, nie jest to, ile Zachód posiada armat i samolotów, ale czy zdołał zachować „swoją pierwotną radość życia i czy jego powietrze nadal przenika niezachwiana wolność".

Sam pomysł wziął się z klimatu epoki. W połowie lat 30. Paryż i Londyn wciąż symbolizowały nowoczesność, swobodę i kulturę, ale i tam docierały już „miazmaty dekadencji". Stało się to dla Máraiego okazją do uważnej obserwacji tych miejsc i konfrontacji z własnymi przekonaniami.

Obok, za granicą

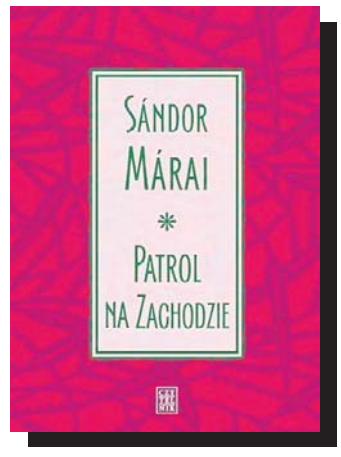
W tle są wydarzenia, o których podróżujący pisarz nie wspomina, albo nie chce. Już 13 stycznia 1935 r. ponad 90 proc. mieszkańców Saary zagłosowało za powrotem regionu do Niemiec, 16 marca Adolf Hitler oficjalnie złamał militarne postanowienia traktatu wersalskiego, przywracając powszechny pobór do wojska i tworząc Wehrmacht, a 15 września uchwalono ustawy norymberskie: „O obywatelstwie Rzeszy" oraz „O ochronie krwi niemieckiej i honoru".

Kawiarnia w Krisztinaváros

„Patrol na Zachodzie" przenika melancholijna refleksja nad kondycją Europy w kluczowym momencie jej historii. To, co początkowo wydaje się być zwykłą relacją z wojaży, szybko przeradza się w precyzyjny opis granic, dworców, hoteli i podróżnych. Każde spotkanie, każdy obraz, każda sceneria jest dla Máraiego przyczynkiem do analizy przemijającego świata.

Czy Zachód go rozczarował? Tak, z dala od domu źle sypiał, był zmęczony, nic go nie cieszyło. Czuł, że nadciąga przełom, tęsknił do ulubionej kawiarni w Krisztinaváros. „Nocą na londyńskich ulicach w zielonym świetle lamp przemawiali prorocy, noszący binokle i chorujący na żołądek, śmiertelnie bladzi, nerwowi profeci". Coś się szykowało.

Mariusz Grabowski



Sandor Marai, „Patrol na Zachodzie", Czytelnik, Warszawa 2026, cena 52 zł

eprasa.pl 98fe2b04de

100 WPŁYWOWYCH KOBIET

Wolą działać, niż czekać, aż świat zmieni się sam lub zrobi to ktoś inny

100 wpływowych KOBIET

Żadna z nominowanych w akcji 100 Wpływowych Kobiet nie budzi się rano z myślą: „dzisiaj zmienię świat". A jednak to robią. Powoli, konsekwentnie, małymi krokami sprawią, że ich małe światy stają się lepsze.

Zmienianie rzeczywistości rzadko bywa spektakularne, to częściej godziny żmudnej pracy, wiele prób, niepowodzeń i momentów, w których pojawia się myśl o rezygnacji. Kiedy jednak w końcu się udaje, a z efektów tych działań korzystają inni, można powiedzieć, że było warto. Wszystko zaczyna się od jednej decyzji i prostego wyboru: działania zamiast czekania.

Akcja 100 Wpływowych Kobiet powstała po to, by przyjrzeć się właśnie takim historiom. Historiom kobiet, które nie pozostają obojętne, podejmują wyzwania i robią coś ważnego. Czasem dla dużej grupy ludzi, czasem dla swojej społeczności, a czasem dla kilku osób, których życie dzięki nim staje się choć trochę łatwiejsze. Ich droga jest ważniejsza niż skala działania czy rozmach przedsięwzięcia. Bo wpływ nie zawsze widać z daleka.

Oddajemy więc głos paniom, by same opowiedziały o tym, co jest dla nich ważne i czym właściwie jest dla nich bycie wpływową kobietą. - Historie bohaterek akcji pokazują, jak różne może być oblicze wpływu. Nie ma jednej drogi do zmiany i nie ma jednej miary sukcesu. Czasem jest nią przełomowe odkrycie, czasem stworzenie miejsca dającego innym szanse, a czasem konsekwentna praca na rzecz sprawy, która przez lata pozostawała w cieniu. Łączy je to, że każda z nich zdecydowała się zmieniać rzeczywistość, nie czekając, aż ktoś inny zrobi to za nią - mówi Katarzyna Adamczyk, która opiekuje się akcją 100 Wpływowych Kobiet od strony redakcyjnej.

Wojewódzkie głosowanie wciąż trwa. Jego wynik wyłoni kobiety, które przejdą do kolejnego etapu i powalczą o miejsce w ogólnopolskim gronie 100 Wpływowych Kobiet. Trzy najbardziej wpływowe kobiety z każdego regionu zostaną przedstawione w książce podsumowującej akcję oraz będą reprezentować swoje województwa w ogólnopolskim finale. Zanim jednak poznamy finałowe nazwiska, warto przyjrzeć się bliżej historiom kobiet. Bo za każdą nominacją stoi nie tylko konkretny dorobek, ale przede wszystkim człowiek, jego wybory, konsekwencja i decyzja, by zamiast czekać - działać.

Więcej o akcji na: polska-news.pl/100-kobiet

MARIA ŚWIERCZYŃSKA

- Bycie silną kobietą oznacza umiejętność pokonywania trudności i wyciągania wniosków z doświadczeń. To także umiejętność podejmowania decyzji, jednoczenia ludzi i brania odpowiedzialności za swoje działania. Ale bycie silną to również umiejętność słuchania - mówi Maria Świerczyńska, dyrektor Zespołu Szkół Budowlanych i prezeska Olimpijczyka Radom.

Jej codzienność to połączenie kilku wymagających ról. Kieruje szkołą, odpowiada za Branżowe Centrum Umiejętności, pracuje jako psycholog, a jednocześnie stoi na czele klubu sportowego. Każda z tych funkcji oznacza odpowiedzialność za innych ludzi, ich rozwój i zaufanie, którym ją obdarzają.

Szczególne miejsce w jej życiu zajmuje jednak sport. Jako prezeska Olimpijczyka Radom współpracuje z działaczami, trenerami, zawodnikami i ich rodzicami. Cieszy ją nie tylko poziom sportowy klubu, ale również atmosfera, którą wspólnie tworzą. - Tworzymy sportową rodzinę - mówi.

Powody do dumy daje jej przede wszystkim rodzina - mąż i córka. - To mój wielki mały świat - podkreśla.

Nie ukrywa, że odpowiedzialność bywa przytłaczająca. Towarzyszy jej czasem pytanie, czy podoła wszystkim zadaniom i czy nie zawiedzie tych, którzy jej zaufali. Są trudniejsze momenty, ale po nich przychodzą mobilizacja i dalsze działanie.

Ważną inspiracją była dla niej poprzednia dyrektorka szkoły, Jolanta Skoczylas. Zapamiętała ją jako kobietę, która nigdy się nie poddawała i pokazywała, że trudności można pokonywać. Dziś sama stara się przekazywać tę postawę dalej - uczniom, zawodnikom i wszystkim



osobom, z którymi współpracuje. Nie twierdzi, że musi być dla innych wzorem. Ważniejsza jest dla niej gotowość do współpracy i wspólnego działania.

Jej rada dla kobiet jest prosta, ale oparta na doświadczeniu: - Wierzcie w siebie i ludzi. Nie zniechęcajcie się i nie poddawajcie przeciwnościom losu. Per aspera ad astra. Być dobrym człowiekiem to podstawa wszystkiego.

EDYTA KRZEŚNIAK

„Zawsze można coś zrobić, by ludziom było lepiej" - to zdanie dobrze oddaje sposób działania Edyty Krześniak, dziennikarki i autorki książek z Warszawy. Od ponad 30 lat wykorzystuje swój zawód nie tylko do opisywania rzeczywistości, ale również do reagowania wtedy, gdy ktoś potrzebuje wsparcia. - Według definicji osoba wpływowa to taka, która ma dużą siłę, pozycję lub autorytet, dzięki czemu może łatwo wpływać na decyzje oraz działania innych ludzi. Z perspektywy swoich ponad 50 lat, z rumieńcem na policzkach stwierdzam, że udało mi się parę razy być „kobietą wpływową" - mówi Edyta Krześniak.

Jej wpływ najczęściej pojawia się tam, gdzie zagrożone jest dobro dzieci lub osób słabszych. W takich sytuacjach nie uznaje kompromisów. Nie zatrzymały jej polityczne naciski, lokalne układy ani interesy biznesowe, gdy dzieciom w placówce opiekuńczo-wychowawczej w Sucuminie działa się krzywda. Nie poddała się również, gdy dzieciom z niepełnosprawnościami kazano stać na przystankach. W Grodzisku Mazowieckim, kiedy lokalna władza pozwalała na skandaliczne żywienie najmłodszych w podległych jej placówkach, doprowadziła do systemowej zmiany. - Moja bezkompromisowość dochodzi do głosu, gdy zagrożone jest dobro dzieci lub osób słabszych. Zawsze można „coś" zrobić, by ludziom było lepiej - podkreśla.

Za każdą z tych historii stoją jednak nie tylko jej determinacja, ale również ludzie, którzy zdecydowali się jej zaufać. Edyta Krześniak nie przypisuje sobie wszystkich zasług. Wie, że skuteczne działanie wymaga współpracy i odwagi wielu osób.- Lista dobrych uczynków okazuje się całkiem spora, ale ich realizacja nie byłaby możliwa, gdyby nie ludzie,



którzy stanęli u mojego boku i odważyli się zaufać dziennikarce - zaznacza.

Źródłem jej siły jest przekonanie, że warto walczyć o słabszych, obnażać fałsz i nie godzić się na sztuczne podziały. - Wiara w to, że warto walczyć o słabszych, obnażać fałsz i burzyć sztuczne podziały, daje mi siłę do działania. Reagowanie na niesprawiedliwość to nie obowiązek - to odruch serca, który czasem może zmienić czyjś cały świat - mówi.

PREZENTUJEMY KOLEJNE KANDYDATKI DO TYTUŁU WPŁYWOWEJ KOBIETY WOJEWÓDZTWA MAZOWIECKIEGO



Agata Bednarek, prezeska Zarządu Fundacji Dr Clown, Warszawa Nominowana za wkład w transformację polskiego systemu wsparcia emocjonalnego pacjentów.



Iwona Borawska, founderka i CEO The Process, interim managerka i doradczyni biznesowa, Warszawa Nominowana za wybitny wkład w transformację i skalowanie polskiego sektora MŚP.



Małgorzata Socha, influencerka, Warszawa Nominowana za promowanie warszawskich zabytków i architektury oraz tworzenie wartościowych materiałów edukacyjnych w mediach społecznościowych.



Martyna Guba, twórczyni projektu Odcienie Kobiecości, Warszawa Nominowana za wspieranie kobiet w budowaniu odwagi i poczucia sprawczości.



Zenobia Żaczek, działaczka społeczna, współzałożycielka Komitetu Obrony Praw Lokatorów, Warszawa Nominowana za pomoc warszawskim lokatorom zagrożonym eksmisją oraz obronę ich praw.

eprasa.pl 98fe2b04de

WARSZAWA

Rolnik z Mazowsza znalazł na polu 700 niewybuchów. Amunicja, pociski i granaty

Maciej Koprowicz

Rolnik z gminy Płońsk musiał być w szoku, kiedy podczas prac polowych natrafił na osobliwą „pamiątkę" z czasów II wojny światowej. Na jego polu zakopanych było przeszło 700 sztuk amunicji strzeleckiej. Niebezpiecznym znaleziskiem zajęli się saperzy.

Policjanci z Komendy Powiatowej w Płońsku odebrali zgłoszenie o niebezpiecznych przedmiotach zakopanych w ziemi w odległości zaledwie dwudziestu metrów od zabudowań gospodarczych.

Na miejsce skierowani zostali policjanci Ogniwa Patrolowo-Interwencyjnego oraz policyjni pirotechnicy, którzy potwierdzili, że znalezisko wymaga zabezpieczenia przez wyspecjalizowany patrol saperski. Przedmioty przejęli specjaliści z 2 Pułku Saperów z Kazunia Nowego (gmina Czosnów, powiat nowodworski).

Jak ustalili saperzy, pod ziemią we wskazanym miejscu znajdowało się ponad 710 sztuk amunicji z czasów II wojny światowej. Zabezpieczyli 271 sztuk amunicji strzeleckiej, 109 granatów ręcznych, 56 zapalników, 174 pociski do granatników oraz 100 innych niebezpiecznych przedmiotów.

W mazowieckiej ziemi, w tym w Warszawie, niemal co tydzień znajdowane są potencjalnie wybuchowe „pamiątki". - Podobne znaleziska wciąż ujawniane są podczas prac polowych, ziemnych czy budowlanych. Upływ czasu nie oznacza, że przestały być niebezpieczne. Nie należy ich dotykać, przenosić ani podejmować prób samodzielnego zabezpieczenia - ostrzega sierż. Eliza Koźlicka z Komendy Powiatowej Policji w Płońsku.

Najgorsze osiedle w Warszawie idzie wreszcie do rozbiórki

Osiedle przy ul. Dudziarskiej na Pradze-Południe wkrótce przestanie istnieć. Na początku wykonawca zajmie się zabezpieczeniem terenu i inwentaryzacją obiektów. Właściwe wyburzanie rozpocznie się po uzyskaniu pozwolenia

Mateusz Bagieński



FOT. ARCHIWUM

Koniec osiedla przy Dudziarskiej na Pradze coraz bliżej

Oeren osiedla został już przekazany firmie, która będzie realizowała rozbiórkę bloków. Nie oznacza to jednak, że właściwe wyburzanie budynków rozpocznie się natychmiast. Jak poinformowała Katarzyna Niwińska, zastępczyni burmistrza Pragi-Południe, początkowo teren zostanie ogrodzony i odpowiednio zabezpieczony. Następnie pracownicy wejdą do budynków, aby wykonać ich szczegółową inwentaryzację. Kolejne działania obejmą podstawienie kontenerów na odpady oraz usuwanie elementów wyposażenia i pozostałości rzeczy pozostawionych przez lokatorów.

Przed rozpoczęciem właściwych prac będą również prowadzone prace projektowe. Kluczowe znaczenie będzie miało uzyskanie ostatecznej decyzji administracyjnej - pozwolenia na rozbiórkę. Dopiero wtedy będzie można rozpocząć mechaniczną rozbiórkę trzech budynków. Zgodnie z założeniami zajmie to 180 dni.

- W pierwszym etapie teren działki zostanie odpowiednio ogrodzony i zabezpieczony. Następnie planowane jest wejście do budynków w celu wykonania szczegółowej inwentaryzacji - poinformowała Niwińska.

Rozbiórka zostanie wykonana metodą mechaniczną, przy wykorzystaniu ciężkiego, specjalistycznego sprzętu. W trakcie prac materiały będą na bieżąco segregowane. Po zakończeniu rozbiórki piwnic i fundamentów zostaną one zasypane, a teren wyrównany.

Nie wszystkie materiały powstałe podczas rozbiórki trafią na odpady. Jak wynika z przekazanych informacji, gruz zostanie poddany recyklingowi w ramach działalności Grupy TREE. Ma z niego powstać certyfikowane kruszywo recyklingowe.

Osobno zagospodarowany zostanie złom, który ma trafić bezpośrednio do huty. Pozostałe materiały porozbiórkowe zostaną natomiast przekazane do zagospodarowania lub utylizacji zgodnie z obowiązującymi przepisami. Oznacza to, że kolejne etapy będą obejmowały nie tylko samo wyburzenie budynków, ale również systematyczne sortowanie i wywożenie materiałów.

Osiedle przy ul. Dudziarskiej od początku swojego istnienia budziło ogromne kontrowersje. Mieszkańcy przez lata skarżyli się na fatalne warunki życia, brak infrastruktury oraz komunikacyjne odcięcie od reszty miasta. Najkrótsza droga do reszty świata prowadziła przez kilkadziesiąt torów kolejowych. W okolicy brakowało sklepów, szkół i placówek ochrony zdrowia, a autobus kursował sporadycznie. - Wrogowi bym nie życzył mieszkać w takiej okolicy - napisał jeden z internautów w opinii opublikowanej w serwisie Google.

W latach 2015-2019 rozpoczęto proces likwidacji osiedla. Mieszkańców stopniowo wykwaterowywano, a wejścia do opuszczonych lokali zamurowywano.

DROBNE

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zł. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie wczasy z wyżywieniem dla Seniorów. 601-585-510 www.danaustronie.pl

ŁEBA - tanie pokoje z łaz. 603-471-715.

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.200 zł/tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie zlecisz
bez wychodzenia z domu
przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.



Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

eprasa.pl 98fe2b04de

LEKKOATLETYKA

Diamentowa Bruksela. Piątka Polaków w wielkim finale

Paweł Wiśniewski

Tylko godziny dzielą nas od ostatniego akordu tegorocznej edycji prestiżowego cyklu Diamentowoej Ligi. Tym razem najlepsi z najlepszych zjechali do Brukseli, gdzie przez dwa najbliższe dni będą rywalizować w finałowym mityngu Wanda Diamond League na miejscowym obiekcie Stade Roi Baudouin.



FOT. FOT. FABRICE COFFRINI/AFP/EAST NEWS

W gronie ośmiu oszczepników startujących w Brukseli Dawid Wegner legitymuje się najgorszą „życiówką" - 85.67 m (z 2025 roku)

Bardzo dobra informacja jest taka, że w Allianz Memorial Van Damme (pula nagród: 2 240 000 dolarów z ogólnej 9 240 000 USD) zobaczymy aż piątkę Polaków. Bezpośredni awans wywalczyli – Natalia Bukowiecka (400 metrów), Klaudia Kazimierska (1500 metrów), Pia Skrzyszowska (100 metrów przez płotki) i Mateusz Kołodziejski (wzwyż).

Kilkadziesiąt godzin temu okazało się, że gwiazda indyjskiego rzutu oszczepem, mistrz olimpijski (2020) i świata (2023) – Neeraj Chopra boryka się z kontuzją kostki, która uniemożliwia mu kolejne starty w tym sezonie. Tym samym zwolniło się miejsce dla naszego Dawida Wegnera!

Dodajmy, że drugą rezerwową w skoku wzwyż jest Maria Żodzik, a trzecią w rzucie oszczepem – Maria Andrejczyk.

Co ciekawe, Bruksela była pierwszym mityngiem, na którym pojawiły się – dobrze nam dzisiaj znane – fajerwerki, bębny, efektowne prezentacje i wiele innych atrakcji.

W tym roku Memorial Van Damme odbędzie się już po raz 50. A na starcie zobaczymy aż 40 aktualnych mistrzów olimpijskich i świata!

W każdym z mityngów Diamentowej Ligi (od sezonu 2024 regularnie jest ich 15) dla najlepszych zawodników w 32 „diamentowych" konkurencjach (po 16 pań i panów) przyznawane są punkty. Na zakończenie sezonu organizowany jest 2-dniowy finał.

Kasa wypłaci w Brukseli:
Konkurencje „Diamond"
- 1. miejsce = 30 000 $
- 2. miejce = 12 000 $
- 3. miejsce = 7000 $
- 4. miejsce = 4000 $
- 5. miejsce = 2500 $
- 6. miejsce = 2000 $
- 7. miejce = 1500 $
- 8. miejsce = 1000 $
- od 9. miejsca = 500 $

Konkurencje „Diamond+"
- 1. miejsce = 60 000 $
- 2. miejce = 20 000 $
- 3. miejsce = 9000 $
- 4. miejsce = 4000 $
- 5. miejsce = 2500 $
- 6. miejsce = 2000 $
- 7. miejce = 1500 $
- 8. miejsce = 1000 $
- od 9. miejsca = 500 $

Starty Polaków w Brukseli
Piątek, 4 września
- godz. 20.09: Mateusz Kołodziejski (wzwyż)

Sobota, 5 września
- godz. 20.04: Natalia Bukowiecka (400 m)
- godz. 20.40: Dawid Wegner (oszczep)
- godz. 20.55: Klaudia Kazimierska (1500 m)
- godz. 21.10: Pia Skrzyszowska (100 m pł.)

Transmisje LIVE dostępne będą - z pierwszego dnia na Polsat Sport 1 (od godz. 20.00), a z drugiego na Polsat Sport 2 (od godz. 20.00).

TENIS

Za nami kiepska noc Biało-Czerwonych w tenisowym US Open

Zbigniew Czyż

Magda Linette, Magdalena Fręch, Kamil Majchrzak i Hubert Hurkacz zakończyli już swoje występy w grze singlowej w US Open. Wcześniej z turniejem pożegnała się Maja Chwalińska.

Fręch (41. WTA) odpadła w pierwszej rundzie. Polska tenisistka przegrała z rozstawioną z numerem 14 Amerykanką Ivą Jovic 5:7, 3:6. Na pierwszej rundzie swoje występy w Nowym Jorku zakończyła też Linette. Polka (82. WTA) przegrała z niżej notowaną Brytyjką Francescą Jones 4:6, 6:1, 3:6.

– Nie miałam wielkich nadziei przed tym turniejem ze względu na to, jak wcześniej wyglądała moja gra i wyniki. Widziałam, co się działo we wcześniejszych tygodniach. Jednak cieszę się, że w drugim secie zaczęłam przypominać siebie z początku roku i to jest plus. To jedyna rzecz, która jest pozytywna – powiedziała po meczu Linette.

W turnieju mężczyzn w drugiej rundzie Majchrzak (73. ATP) przegrał z rozstawionym z numerem 22 tenisistą z Monako Valentinem Vacherotem 4:6, 6:4, 6:7 (3-7), 2:6. Spotkanie trwało trzy godziny i 26 minut. Na tym samym etapie Hurkacz (47. ATP) uległ rozstawionemu z numerem ósmym Amerykaninowi Benowi Sheltonowi 3:6, 7:5, 6:7 (3-7), 5:7.

– Nie czułem się najlepiej na serwisie. Trochę inaczej ogarniałem przestrzeń, kiedy wyrzucałem piłkę. Nie mogłem znaleźć swojego właściwego, dobrego rytmu. Na pewno gdybym lepiej serwował, to później byłbym skuteczniejszy w wymianach. To są te małe detale, w których Ben był solidniejszy ode mnie – podsumował spotkanie Hurkacz.

Swój następny występ Wrocławianin zapowiedział w Chinach.

– W ostatnim czasie miałem trochę problemów ze zdrowiem. Teraz mogę cały czas budować swój poziom i w kolejnych turniejach w tym roku na pewno będę grał lepiej – zakończył Hurkacz.

China Open zaplanowany jest w dniach 30 września-6 października.



KIRSTY WIGGLESWORTH/AP PHOTO/EAST NEWS

29-letni Hubert Hurkacz po raz ósmy rywalizował w US Open i nigdy nie przebrnął drugiej rundy

PIŁKA NOŻNA

Legia już bez Milety Rajovicia. A kto zostanie trenerem Rakowa?

Jacek Czaplewski

Tylko do przyszłej środy kluby z PKO Ekstraklasy mogą przeprowadzać transfery. Najgłośniejszą w ostatnich godzinach transakcją okazało się wypchnięcie Milety Rajovicia z Legii Warszawa.

Rajović to bohater potencjalnie największej pomyłki Legii w historii. Duńczyk w ubiegłym roku kosztował rekordowe 3 mln euro. Zupełnie jednak nie sprostał oczekiwaniom. Nowy trener Marek Papszun bardzo w niego wierzył, próbował odbudować, ale w końcu szkoleniowiec też dał sobie spokój. Wszyscy, włącznie z piłkarzem uznali, że nic dobrego nie ma prawa już wyniknąć, dlatego tuż przed północą ze środy na czwartek Mileta został wypożyczony z opcją wykupu do lidera ligi duńskiej, FC Midtjylland, który aż za 17 mln euro sprzedał tego dnia swojego najlepszego strzelca, Franculino, do tureckiego Trabzonsporu.

Legia po blamażu w Pucharze Polski ciągle nie zamknęła kadry. Na wypożyczenie do słoweńskiego NK Maribor wysłała Petara Stojanovicia, rywalizującego dotąd na prawym wahadle. Na tę pozycję ściąga bowiem Japończyka Shinnosuke Fukudę, licząc że ten zrobi taką furorę w Polsce jak wcześniej jego rodak Ryoya Morishita. A w miejsce zwolnione przez Rajovicia zmierza z gdańskiej Lechii Bohdan Wjunnyk.

Ruch na naszym rynku jest spory. Wedle medialnych doniesień Pogoń Szczecin jest po słowie z Dawidem Kownackim z Werderu Brema. Drużynę Portowców opuścił natomiast jeden z liderów środka pola, Norweg Fredrik Ulvestad, którego oddano do duńskiego Odense pod skrzydła byłego trenera drużyny, Thomasa Thomasberga.

Śląsk Wrocław zarobił około 1 mln euro za sprzedaż kolejnego młodego piłkarza do holenderskiego FC Twente. Po Krzysztofie Kurowskim trafił tam bowiem Michał Rosiak. W Jagiellonii Białystok za to głośny powrót – na lewą obronę w ramach kolejnego wypożyczenia z portugalskiej Bragi przybył ceniony Bartłomiej Wdowik. Do Górnika Zabrze zawitał Duńczyk Malthe Hojholt – z doświadczeniem w Serie A, grający na pozycji defensywnego pomocnika.

Przed nami jeszcze kilka bardzo intensywnych dni. Raków Częstochowa ogłosi trenera (być może zostanie nim Goncalo Feio) i prawdopodobnie sprzedaż Michaela Ameyawa, łączonego z Koroną Kielce.

eprasa.pl 98fe2b04de

polski serial medyczny
najwyższe francuskie odznaczenie
kwiat Nilu
naszywka na mundurze
stolica Albanii
udaje towar
smar maszynowy
M-1 rudego ssaka
drapieżna mucha
cudza nie boli
model Poloneza
z parze z opierunkiem
19
popularna na Śląsku gra w karty
świątynia buddyjska
niestaranne pismo
jedzie w peletonie
buntownik z lat 60.
wsad do martena
jednostka masy
amerykańska odmiana jabłoni
silna lub ostatnia
fryzura punka
28
bagienna mgła
autko na torze
dawna moneta
3
powieść Arkadego Fiedlera
grecka kraina historyczna
11
część nogi
25
9
brazylijski taniec
polska ciężarówka
herbaciany stan w Indiach
w portfelu Czecha
kieliszek wódki
szlam
budowla bobrów
pan z karabelą
„... nr 1”, film z rolą Karola Strasburgera
ułatwia przelewanie cieczy
efekt braku zajęcia
lek dla słabeusza
płaskowyż w Andach
rywal Wilka z „Krzyżaków”
5
18
Sokrates lub Platon
święty byk egipski
mieczник w oceanie
Madryt lub Oslo
miękka tkanina jedwabna
odgłos morza
17
kabaret z Zielonej Góry
20
Beauforta lub Celsjusza
duże jezioro w Rosji
grube płótno lniane
niebieski lub stalowy
ubóstwo, niedostatek
najstarszy w rodzinie
29
8
boczna część świątyni
ptak drapieżny
filmowy Obywatel
lokum dla Opla
włókno z celulozy
stop żelaza z węglem
marcinek w ogrodzie
Paul, aktor z USA
artretyczna dolegliwość
przybudówka
kamień ozdobny
najemny robotnik
6
metal, dodatek stopowy
gobelin
rzeka jak ssak
przebieg debaty
10
przystań dla Arki Noego
dawny Arab
jadło
kilka parafii
1
uczeń szkoły wojskowej
16
arabski książę
tumak lub kamionka
24
pole działania
imię Turner, piosenkarki
mieszana w tenisie
komedia Gogola
miejsce zebrań masonów
powieść Emila Zoli
długa żerdź
dawni Rosjanie
15
dawny ubiór męski
zjazd organizacji
krawiecka taśma
2
strome skaliste wybrzeże
odmiana gipsu
atomowa wielki ssak morski
pani magister
bukietowy dodatek
dozownik
roślina bez korzeni
polskie miasto dywanów
22
model Kia
basen portowy
instrument smyczkowy
organiczne związki chemiczne
pocisk z głowicą bojową
wigilijna ryba
27
ptak padlinożerca
31
wierszowana zagadka
7
dawni Rosjanie
wzór, model
mąż Balladyny
swoboda w zachowaniu
murarska skrzynia na zaprawę
pasmo górskie w Bułgarii
tajniki, sekrety
30
23
33
odkryta weranda
trunek z Nipponu
zięć Mahometa
Julia Roberts
miasto w Japonii
4
lud z Rwandy
konkurent Bolta
komedia Zapolskiej
czapka francuskiego żołnierza
nie posłuchał rady Dedala
groźny narkotyk
groźna przepowiednia, znak
grecka bogini niezgody
oficerska w wojsku
grecki bohater spod Troi
hala sportowa w Katowicach
13
Bq dla fizyka
szczyt „nieba”
grono przyjaciół
umiar w zachowaniu
tkanina na szaty liturgiczne
26
21
spływa z gór
kobiecy wdzięk
miasto w Lubuskiem
14
32
wysunięta część fasady
okucie żeglarskie
Wielka ... Koralowa
polski mikrobus
12

AUTOPROMOCJA
0310987243
Twoja gazeta w prenumeracie z Tele Magazynem
tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

SŁOWNIK: ARGOLIDA, BEREKEL, CZTAN, NAFTENY, NAZCA, RIAS, RYZALIT, SELENIT, TERA, TUTSI.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	33

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 33 utworzą rozwiązanie: aforyzm Krzysztofa Bilicy.

ROZWIĄZANIE:W WALCE Z ZACOFANIEM WCIĄŻ BRAK POSTĘPU.

eprasa.pl 98fe2b04de